MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 17. WARSZAWA, 29 MARCA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

PO DECYZJI

DECYZJA zapadła. Po dwudniowej dyskusji w komisjach obydwie umowy z Niemcami przyjęte zostały w Izbach ustawodawczych w tempie nowoczesnej twórczości prawodawczej, wprowadzonem przez rządzącą większość.

W ciągu jednej nocy uchwalono — obok szeregu innych pomniejszych traktatów — obie umowy w Sejmie. W ciągu jednej nocy przeprowadzono je w Senacie.

Jeszcze mamy w uszach argumenty opozycji. Przebrzmiały bez wpływu na wyniki głosowania, nie znajdując wyrazu w żadnej najdrobniejszej poprawce. Nie pomogły ani pełne spokojnej rachuby argumenty natury gospodarczej, ani sięgające podstaw naszego bytu narodowego i naszych dziejów najdawniejszych, ostrzeżenia polityczne.

Bez echa, — bez echa widocznego w wynikach głosowania — pozostały pełne troski o same podstawy naszego bytu narodowego wyrazy, z głębi sumienia polskiego płynące.

Bez wahania poszła do głosowania potrzebna większość: Blok Współpracy z obecnym rządem, do spółki z PPS i Ukraińcami — w tym samym czasie, kiedy ich niemieccy towarzysze uchwalali kredyty na „pancernik B", a wychodźcy z Poznańskiego proklamowali w Berlinie powrót do swej dawnej ojczyzny, „czasowo oderwanej od Niemiec".

I próżno opozycja w szeregu przemówień pytała o powody tej decyzji. Próżno apelowała do poglądów stronnictwa rządzącego.

Nie pomogło ani to, że pierwszy referent Traktatu Handlowego, wyłoniony z BB, po zbadaniu sprawy uznał za niemożliwe bronić przed Izbą ratyfikacji. Nic nie pomogły wątpliwości referenta tegoż traktatu w Senacie, który z ramienia BB przyznał wprawdzie, że zachodzi obawa politycznych skutków klauzul osiedleńczych, lecz pocieszał nas swoją wiarą w odporność społeczeństwa naszych ziem zachodnich, jakgdyby wiara lub niewiara uzasadnić mogła nowy ten eksperyment polityczny, dokonywany na naszych najcenniejszych i najbardziej przez dzieje wystawionych na próbę dzielnicach.

Ministrowie: Handlu i Spraw Zagranicznych, przemawiający jeden po drugim na plenum Sejmu, mieli nam dać wreszcie ostatnie słowo obecnego rządu w tej sprawie.

Powoływali się na siebie wzajemnie: p. Prystor odsyłał nas do p. Zaleskiego w sprawach politycznych, p. Zaleski — do p. Prystora w sprawach gospodarczych.

Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się raz jeszcze w zakresie gospodarczym, że, zdaniem p. Prystora, „dotychczasowy bilans zatargu gospodarczego z Niemcami jest dodatni", że „fluktuacje spowodowane wojną celną w naszym handlu z Niemcami nie pociągnęły za sobą ujemnych następstw ekonomicznych". Tem nie mniej oświadczył się p. Prystor za ratyfikacją obecnej umowy, jako za „jedynie możliwą formą ukończenia wojny gospodarczej z Niemcami".

Analizując klauzule osiedleńcze p. minister Zaleski nie wspomniał o tem, jakie jest napięcie ruchu osobowego pomiędzy Polską a Niemcami. Nie próbował obliczać, jak klauzula największego uprzywilejowania wpłynie na rozwój tego zjawiska, już dziś idącego w setki tysięcy osób rocznie. Nie wspomniał o tem, jak będą wyglądały nasze Kresy Zachodnie, kiedy rzesze kupców i przemysłowców niemieckich przyjdą tam, zasobne w pomoc ze specjalnych funduszów i staną do walki konkurencyjnej z naszym handlem i przemysłem, — w tej sytuacji gospodarczej, co do której niema już złudzeń w żadnem stronnictwie naszych Izb.

Pokrzepiał słuchaczy zapewnieniem, że forma umowy handlowej oparta jest na „typie zobowiązań, przyjętych ogólnie w tej dziedzinie". Nie wspomniał przytem, czy stosunek Niemiec do Polski jest także oparty na typie przyjętym w stosunkach międzynarodowych.

Postąpił jak lekarz zapisujący ciężko choremu normalne odżywianie i pocieszający rodzinę, że teraz już będzie zdrów, bo pokarm ten odpowiada ogólnie przyjętym dla ludzi zdrowych normom.

Upewniał nas p. minister Zaleski, że „zapobiegliśmy możliwości masowego powrotu obywateli

niemieckich" przez to, iż w art. 20 Traktatu pobyt od roku 1919 dla tych osób ma być nieprzerwany. Nie chciał nas martwić zestawieniem tego artykułu z odnośnym ustępem Protokułu końcowego, gdzie właśnie powiedziano, że będą mogli powrócić także ci, których pobyt został przerwany „z przyczyny, będącej z natury swej przemijającą",—np. uczęszczanie do szkół wszelkich stopni, przygotowanie zawodowe lub wyszkolenie, stanowisko przejściowe w charakterze asystenta lub kandydata i t. p.

Uproszczone w ten sposób zagadnienie rozstrzygnął p. minister Zaleski w tym samym duchu co i p. Prystor: musimy ratyfikować pomimo wszystkie zastrzeżenia i wątpliwości:

— „dla koordynacji swych sił z siłami życia gospodarczego Europy"...

— „dla normalnej współpracy i konkurencji wszechświatowej"...

— „dla stworzenia podstawy normalnej współpracy pomiędzy obu krajami"...

Kiedy *anno Domini* 1230 Konrad Mazowiecki postanowił wpuścić Krzyżaków na Pomorze, postępował on również według wzorów, praktykowanych na Zachodzie, gdzie królowie niejednokrotnie przyjmowali na służbę rycerzy, osadzając ich na lennie i powierzając im różne bojowe i polityczne zadania. „Normalizował stosunki", postępował w myśl „przyjętych dla tego rodzaju stosunków norm".

Że skutek nieco odbiegał od praktyki europejskiej, tego w owych czasach przewidzieć było nie łatwo.

W każdym razie nieco trudniej, niż w wieku XX, a zwłaszcza po owych ułatwieniach, jakie stworzyła szczerość pp. Treviranusa i Curtiusa. Teraz już polityczne przewidywanie wydaje się czemś zgoła dostępnem nawet dla umysłowo nie wtajemniczonego w arcana wysokiej dyplomacji.

Także i w dziedzinie myślenia politycznego zrobiliśmy przez te lat siedemset jakie takie postępy. Wiemy naprzykład, że pomimo całego należnego dla różnych zasad ogólnych szacunku, — nie można naginać do nich bujnej rozmaitości życia, że raczej zasady muszą być dostosowywane do form, jakie nastręcza życie.

Większość rządowa w myśl zasady: *vanae sine viribus irae!* a zniecierpliwiona argumentami, poprostu przecięła ich nić, przerywając dyskusję, pomimo zapisania do głosu jeszcze paru posłów opozycyjnych.

Teraz już dzielnice zachodnie mają niczem nie skrępowaną sposobność do „wykazania swej odporności, a uporczywa opozycja do skorygowania swego pesymizmu". Jeżeli rachuby te zawiodą, większość gotowa jest wymówić traktat po jakim roku próby i okazaniu całemu światu, jak dalece sięga polskie dążenie do stabilizacji, normalizacji, współpracy.

Tylko jak to tam będzie z temi klauzulami osiedleńczemi? Czy p. Zaleski z p. Prystorem, rozczarowawszy się do swych partnerów, uprzątnie z Polski wszystkich Niemców, którzy założą na Pomorzu handlowe i przemysłowe przedsiębiorstwa? Czy usuną tych, co powrócą ze swej „dla celów przemijających" nieobecności?

Czy zlikwidują własność nieruchomą tych Niemców, którzy ją nabędą na podstawie art. 23?

Czy usuną tych, co na podstawie art. 19 założą w Polsce towarzystwa akcyjne?

Czy też raczej pozostawią te wszystkie nabytki traktatowe, jako stałe świadectwo naszych pokojowych dążeń względem sąsiadów, a wzruszeni do łez hitlerowcy na najbliższe imieniny ofiarują nam obydwa pancerniki A i B?

Wówczas jednak w podwórzu posesji numer 1 przy ulicy Wierzbowej wystawić wypadnie okazały pomnik Konradowi Mazowieckiemu. Napis opracuje autor niedawnych prelekcyj w MSZ, prof. Zakrzewski, a na podstawie pomnika stanąć musiałyby spiżowe podobizny interpretatorów i wykonawców systemu Księcia Konrada: pp. ministrów Prystora i Zaleskiego.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

ODPOWIEDŹ

DOPIERO ze streszczenia, przytoczonego 17 b. m. w „Kurjerze Warszawskim" („Dnia Polskiego" nie czytuję), dowiedziałem się, iż poseł ks. Janusz Radziwiłł na fejleton mój „Na widowni" [1]) zareagował artykułem polemicznym p. t. „Niedozwolone chwyty", ogłoszonym w „Dniu Polskim" 15 marca r. b. Tem tłumaczy się — wynikająca z przeszkód natury technicznej — konieczność odłożenia mojej repliki do niniejszego zeszytu „Myśli Narodowej". Stało się lepiej, ponieważ w tym czasie właśnie wypowiedział się w tejże sprawie Adam Grzymała-Siedlecki, w sposób wytworny i głęboki analizując dotychczasowy przebieg polemiki i oceniając jej charakter i znaczenie [2]). Po wystąpieniu tem jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnych zadanie moje okazuje się o wiele skromniejsze i łatwiejsze i właściwie ogranicza się już ono do silniejszego uwydatnienia niektórych tylko punktów i postawienia paru zaledwie „kropek nad i", gdzie to jeszcze pożyteczne byłoby uczynić. Coprawda styl i forma artykułu ks. Radziwiłła nie zachęcają wogóle do przedłużania toczącej się dyskusji, nie o rozmowę towarzyską jednak chodzi, ale o dokładniejsze przyjrzenie się zdarzeniu, którego bardziej szczegółowe rozpatrzenie rzuca niezmiernie pouczające światło na obyczaj i na metody polityczne obozu, obecnie Polską rządzącego.

W odpowiedzi swej pisze ks. Radziwiłł:

„By zwalczyć mnie i ostatecznie zdyskredytować sięga p. Rembieliński poprzez przestrzeń 3 wieków do analogji nazwisk i imion i cytuje ustęp, który genjalny powieściopisarz wkłada w usta tragicznego bohatera swej powieści. Że postać Wielkiego Hetmana Litewskiego jest znaną p. Rembielińskiemu nie z historji, a tylko z powieści — w to wierzę, stąd jednak nie wypływa obowiązek ani prawo używania w dyskusji politycznej z przeciwnikiem produktów genjalnej być może ale fantazji wielkiego pisarza".

Nie zawadzi ustalić ściślej stan faktyczny. „Produktem fantazji" genjalnego powieściopisarza (Sienkiewicza w „Potopie") są właśnie owe wyrzuty sumienia, jakich doznawał, po popełnieniu zdrady, hetman Janusz Radziwiłł, fantazją — próba usprawiedliwienia jego postępków w rozmowie z Kmicicem, fantazją wreszcie — szczera, litością przejmująca skrucha, jaką w ostatniej godzinie przed śmiercią okazywać miał oblężony na zamku

[1]) „Myśl Narodowa" nr. 12 z r. b., str. 154.
[2]) W fejletonie „Pod światło" („Książęca polemika"), „Kurjer Warszawski" z dn. 20 b. m., wydanie wieczorne.

w Tykocinie. Nie fantazją natomiast, ale faktem historycznym jest umowa kiejdańska. Oto co np. pisze o niej w swoich „Dziejach Polski“ Józef Szujski[3]): „...kroczył w Litwę Magnus de la Garde wódz szwedzki i zająwszy Dynaburg, wezwał Litwinów, aby idąc torem Wielkopolan, poddali się Karolowi Gustawowi. Uczynił to Janusz Radziwiłł w Kiejdanach dnia 18 sierpnia... uznanie Karola Gustawa w. x. litewskim, było jednym krokiem w zdradzie i przeniewierstwie dalej, niż uznanie przez Wielkopolan protekcji karolowej“. Zatem — zdaniem Józefa Szujskiego — „w zdradzie i przeniewierstwie“ hetman Janusz Radziwiłł potrafił posunąć się dalej nawet, aniżeli winowajcy haniebnej kapitulacji z pod Ujścia, Hieronim Radziejowski i Krzysztof Opaliński... Trudno doprawdy zrozumieć gorliwość posła Janusza Radziwiłła, jeżeli w takich warunkach z takim wysiłkiem stara się przeciwstawić prawdę historyczną... „genjalnej być może ale fantazji wielkiego artysty“...

Wróćmy wszakże do chwili dzisiejszej. Poseł ks. Janusz Radziwiłł tak w dalszym ciągu formułuje w swym artykule swoje w stosunku do mego postępowania pretensje:

„P. Rembieliński... zarzuca mi ni mniej ni więcej, tylko stawianie zasady, że cel uświęca środki. By dowieść tej śmiałej tezy, wypacza również śmiało i bezceremonjalnie zasadniczą myśl i treść mego przemówienia w Komisji Sejmowej, zapomina o innem mojem przemówieniu w Krakowie, przemilcza o mojem wystąpieniu w prasie, dowolnie i tendencyjnie dobiera sobie cytaty i genjalnie, przyznaję, szermując tą znaną i nieco zużytą bronią z arsenału „narodowych“ pisarzy, jaką jest kalumnja, przewyższając jednak wszystkich tupetem i bezczelnością, zarzuca mi to samo, co równocześnie sam robi. Jest szczytem perfidji, używając samemu tak mało wybrednych środków dla osiągnięcia nieszlachetnego celu, zarzucać innym obronę niemoralnej zasady“.

Przytoczyłem ten przydłuższy nieco „wzór prozy“, ponieważ na jego tle tem wyraziściej zarysować się musi przedstawienie istotnego stanu rzeczy. Otóż w fejletonie mym, po stwierdzeniu, że poseł ks. Janusz Radziwiłł potępia moralnie to, co się działo w Brześciu i głęboko nad tem ubolewa, jednocześnie atoli uważa to za część „procesu dziejowego“, którego celem jest nadanie Polsce nowej, lepszej aniżeli obecna, konstytucji; po przypomieniu następnie, że pomimo „cierpień moralnych“ poseł Radziwiłł oddał głos w Sejmie „przeciwko wnioskowi Klubu Narodowego, domagającemu się zbadania sprawy brzeskiej i ukarania winowajców“— wyprowadziłem konkluzję, iż najwidoczniej, zdaniem księcia, „cel (zmiana konstytucji w myśl projektu B.B) jest tak promienny, tak wielki, że uprawnić ma użycie wszelkich sposobów, chociażby nawet cenę ich stanowiło wyrzeczenie się najbardziej elementarnych dóbr z dziedziny moralnej“. Zapewne, tak rozumiane stanowisko ks. Radziwiłła nie przedstawia się najpoprawniej z punktu widzenia nauki, głoszonej przez Kościół Katolicki, przebija w niem raczej pogańska zasada ubóstwienia państwa i traktowania go jako celu ostatecznego, niemniej wszelako, tak pojęty pogląd przedstawiciela klubu B.B. nie byłby jeszcze pozbawiony swoistej dostojności moralnej, nie byłby czemś całkowicie pozaetycznem. Ale, na miłość Boską, jeżeli nie cel szlachetny, uświęcający użycie środków nędznych i podłych, to jakież wogóle inne motywy mogły nakłonić posła księcia Janusza Radziwiłła, że zsolidaryzował się w głosowaniu sejmowem z postępkami, nad któremi — jak twierdzi — cierpiał „moralnie może nawet więcej, niż inni cierpieli fizycznie“? Cóż zadecydowało tedy: lękliwość? wzgląd na korzyści osobiste? zamiłowanie do serwilizmu? oportunizm? Przyznam szczerze, rzeczywiście nie przychodziły mi nawet na myśl podobne podejrzenia, kiedy formułowałem swoją „śmiałą tezę“, iż zachowanie się księcia Janusza Radziwiłła jest wyrazem zasady, że wielki cel (polityczny) rozgrzeszać może posługiwanie się i ubolewania godnemi ze stanowiska oceny moralnej metodami. Kiedy kilka różnych przypuszczeń potrafi mi w sposób równie logiczny wytłumaczyć postępowanie mego politycznego przeciwnika, bez wahania skłonny jestem zawsze wybierać hypotezę motywu najszlachetniejszego. Ks. Janusz Radziwiłł stwierdza w sposób stanowczy, że przy badaniu motywów j e g o postępowania, hypoteza ta doprowadziła do wyciągnięcia wniosków nie odpowiadających rzeczywistości. Ale, doprawdy, znowu trudno mi zrozumieć niezwykłą skwapliwość, z jaką ks. Radziwiłł zakrzątnął się około rozgłoszenia tego pr, ykrego faktu na łamach dzienników...

Jest atoli w polemice ks. Janusza Radziwiłła inna jeszcze sprawa, zasługująca na rozpatrzenie, mianowicie sprawa metody. Ks. Radziwiłł zarzuca mi, iż „wypaczam śmiało i bezceremonjalnie“ treść jego przemówienia w komisji sejmowej, „dowolnie i tendencyjnie“ dobieram z tego przemówienia cytaty. Zarzuty to zupełnie gołosłowne, wie o tem bowiem niezawodnie, iż ustęp jego oświadczenia, dotyczący Brześcia, przytoczyłem w fejletonie swoim nie w streszczeniu, nie w urywkach nawet, ale w c a ł o ś c i, posługując się ponadto, aby być już zupełnie lojalnym, tekstem ogłoszonym w „sanacyjnym“, konserwatywnym dzienniku, w „Słowie“ wileńskiem. Książę Radziwiłł nie próbuje też bynajmniej wykazać, choćby na podstawie jednego cytatu, jakiegokolwiek, najmniejszego nawet przykładu owych „wypaczeń“. Ucieka się natomiast do słów bardzo mocnych: „kalumnja“, „tupet“, „bezczelność“, „perfidja“... Jest to oddawna stosowany sposób polityków „sanacyjnych“: skoro dyskusja przybiera dla nich obrót beznadziejny, usiłowanie zatopienia jej w atmosferze zwady, zagłuszenia hałasem owej zwady nieprzyjemnych dla siebie stwierdzeń i wniosków. Czyż nie w taki sam sposób właśnie usiłowali w swoim czasie „naprawiać wrażenie“, po przemówieniu posła prof. Rybarskiego, posłowie z klubu B. B. W. R., panowie Idzikowski i Dobrzański? A nie jest chyba nietaktem towarzyskim uwydatnienie tak bliskiego podobieństwa pomiędzy księciem Januszem Radziwiłłem a działaczami, należącymi z nim do jednego zespołu parlamentarnego i których zaufaniu koleżeńskiemu zawdzięczał przecież tak wysoko cenioną przez siebie godność wiceprezesa Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem?

I tu, zdaje się, dochodzimy do istotnej przyczyny wyjątkowo kłopotliwego położenia, w jakiem ks. Janusz Radziwiłł znalazł się, skoro stanął przed nim obowiązek zajęcia wyraźnego zupełnie stanowiska w kwestji Brześcia. Ks. Radziwiłł subtelnością moralną, wrażliwością etyczną swego sumienia usiłował niejako wyróżnić się ponad gromadę pozostałych współtowarzyszów swoich z klubu B. B.: oni tylko głosowali przeciwko wnioskowi, żądającemu śledztwa w sprawie brzeskiej i ukarania winowajców, on natomiast i głosował i zarazem składał oświadczenia, w których chciał wykazać swoją wielkoduszność tudzież zaznaczyć szlachetność swojego sposobu myślenia. A to właśnie okazało się i musiało się okazać niemożliwe. „Nie jest sługa

[3]) T. III, str. 367 — 368.

większy nad pana swego, ani posłaniec większy nad onego, który go posyła" (Jan, XIII, 16). Ks. Radziwiłł orjentuje się napewno znakomicie, kto go „posyłał", chociażby w charakterze posła na Sejm, i ponad kogo, skoro raz się tak zdecydował, nie wypada mu już obecnie być „większym". „*Humiliate capita vestra*" — przypomnę mu werset liturgiczny, skierowany przezeń, jako pouczenie, pod moim adresem, a który on sam istotnie, może nawet czasem zbyt żarliwie, stosował był w swej działalności politycznej, zwłaszcza w epoce okupacji niemieckiej, w pamiętnych czasach Rady Regencyjnej i generał-gubernatorstwa von Beselera...

JAN REMBIELIŃSKI

SZKOŁA JEDNOLITA I „WYCHOWANIE PAŃSTWOWE"

(PRZYCZYNEK HISTORYCZNY)

(Dokończenie)

III. SPADEK PO REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

DALSZA historja zagadnień ustroju szkolnego i zasad wychowania we Francji jest niezmiernie pouczająca. Po upadku rewolucji dyktatura cesarska Napoleona I wstrząsnęła całą Europą. Jaki był stosunek Bonapartego do rewolucji, z której wyszedł? — trudno ocenić objektywnie.

Być może, że zamierzał przeciwstawić się skrajnościom rewolucji, jak to twierdzi Hoene-Wroński, być może, że pragnął rewolucję w formie mniej radykalnej zaszczepić reszcie Europy, najprawdopodobniej jednak przyświecały mu cele wyłącznie osobisto-dynastyczne. Łatwo natomiast ustalić jego stosunek do masonerji. Sam będąc „znakomitym bratem" i znając — jak inni — z wierzchu tajniki wolnomularstwa, sądził, że potrafi się tem stowarzyszeniem posługiwać dla własnych celów. Postanowił je opanować od góry, od szczytów, lecz — dzięki ignorancji swojej — dosięgnął swą mocą tylko tam, gdzie znajdowało się kierownictwo oficjalne. Sprawił, że brat jego, Józef został Wielkim Mistrzem Wielkiego Wschodu; drugi brat jego, Ludwik pomocnikiem Wielkiego Mistrza; Masséna Wielkim Administratorem; senator de Choiseul-Praslin Wielkim Konserwatorem; Murat i Kanclerz legji honorowej Lacépéde Wielkimi Nadzorcami; senator Jaucourt Wielkim Sekretarzem; Lalande Wielkim Mówcą; admirał Magon Wielkim Podskarbim; Augereau Wielkim Szpitalnikiem i t. d.

W rezultacie jeden z wybitnych masonów t. zw. *strictae observantiae* Józef de Maistre, mówiąc o stosunku Napoleona do masonerji, tak się wyraził:

„Jest-li on przywódcą, czy oszukanym, czy wreszcie jednem i drugiem w stosunku do stowarzyszenia, o którem jest przekonany, że je zna, podczas gdy ono sobie z niego drwi?"

Niewidzialni kierownicy wolnomularstwa znaleźli jeszcze inną drogę, by spętać cesarza. Oto ni stąd, ni zowąd pojawia się we Francji, przeszczepiony z Ameryki północnej t. zw. „ryt szkocki dawny i przyjęty", stwarzający zrzeszenie zupełnie Napoleonowi niedostępne. Wśród tych ukrytych wrogów cesarz czyni wszystko, by utrwalić cesarstwo i dynastję. W zakresie szkolnictwa pozostawia z początku ustrój szkolny, stworzony prawem z r. 1795. Dopiero w r. 1806 przystępuje do reorganizacji.

Prawem z d. 10 maja 1806 r. utworzono Uniwersytet Cesarski, poddając mu całość szkolnictwa. W opublikowanych w r. 1814 „*Mémoires sur l' université*" p. Liautard, kierownik jednej ze szkół średnich w Paryżu, tak wyraża się o składzie ciała nauczycielskiego:

„Środowisko księży i ludzi świeckich, z których jedni byli wierni swym obowiązkom, inni zaś zdradzili je skandalicznie: są tam księża żonaci, apostaci, intruzi; są tam okrzyczani wolnomularze, deiści, niedowiarkowie, zawodowi gracze, bankruci, rozwiedzeni; wątpię, czy istnieją choć dwa licea, któreby nie zawierały takiej nieczystej mieszaniny".

Ci ludzie wszczepiali w dzieci francuskie ducha wojskowego i ideę Napoleońską t. j. ideę jego dynastji. Po internowaniu Napoleona na wyspie Elbie, Ludwik XVIII znosi Uniwersytet Cesarski, lecz powrót cesarza przywraca natychmiast tę instytucję. Po Waterloo Ludwik XVIII pozostawił Uniwersytet prowizorycznie na czele szkolnictwa i w tym swoim charakterze instytucja ta przetrwała Burbonów. Stosunek restauracji burbońskiej do masonerji nie był stosunkiem nieprzyjaźni. Obaj królowie, Ludwik XVIII, a potem Karol X byli inicjowani.

W r. 1818 minister Descazes w urzędowej enuncjacji do jednego z prefektów tak określa stanowisko rządu w stosunku do lóż:

„Te związki są ogólnie autoryzowane w całej Francji; jedynie w nadzwyczajnych wypadkach zawieszano ich działalność. Wobec tego, że administracja postępuje drogą praworządności, sprzeciwianie się otwarciu loży wolnomularskiej byłoby działalnością arbitralną, o ile za każdym razem członkowie dostosowali się do przepisów ustawy odnośnie do związków, obejmujących więcej, niż 20 osób".

Tak oto Burboni pomimo to, że wolnomularstwu zawdzięczali właśnie utratę korony i dekapitację Ludwika XVI, oddawali się złudzeniu, że legalizacja masonerji powstrzyma jej działalność wywrotową.

Wielki Wschód Francji pozostał lojalny wobec władzy królewskiej, mniej już ryt szkocki; tajne kierownictwo wolnomularstwa znalazło jednak nowe drogi, by uniknąć nadzoru królewskich urzędników. Wypróbowanym sposobem powołuje do życia nowy ryt „Mizraim", który później okultysta Pappus stawia na czele wtajemniczeń masońskich, zaś masoni i okultyści mówią o nim, że — wobec niechęci do żydów, panującej wśród masonerji — skupia on niemal wyłącznie żydów. Organizacją nowego rytu zajmują się trzej bracia Bédarride, wałęsający się po Francji w charakterze komiwojażerów handlowych.

Jassud Bédarride, izraelita, autor dzieła „O prozelityźmie i wolności religijnej, czyli o judaiźmie pośrodku wyznań chrześcijańskich przy obecnym stanie ustawodawstwa", wydanego w r. 1875, oraz Marc Bédarride, jego brat, stają się organizacyjnymi wodzami ruchów wolnościowych, które ogarnęły całą Europę w 1848 r., albowiem ryt „Mizraim" powołuje do życia węglarstwo. Węglarstwo, w skład którego wchodzą dostojni masoni obok płatnych

agitatorów, przeprowadza rewolucję i osadza na tronie Ludwika Filipa. W tym samym czasie wywołuje w Polsce powstanie listopadowe, by zatrzymać wojska Mikołaja I, mające podążyć na zachód.

Monarchja Ludwika Filipa jest monarchją masońsko-liberalną. Stosunek rządu do wolnomularstwa wyjaśnia nam okólnik ministra Thiers'a z d. 14 maja 1834 r., skierowany do prefektów:

Co się tyczy lóż wolnomularskich, które są tolerowane, a nawet autoryzowane, to panowie wiecie oddawna, że stoją one pod władzą Wielkiego Wschodu i że ściśle zobowiązania zostały im nałożone; nie chodzi o to, aby wiedzieć, czy członkowie, wchodzący w ich skład, są republikanami, ale, czy działają jawnie i wrogo w ten sposób, jakby tworzyli stowarzyszenie republikańskie. Niech się więc panowie postarają stwierdzić fakty i zdobyć dowody. Naskutek specjalnych sprawozdań, z któremi panowie zechcecie zwrócić się do mnie, przestrzeże się Wielki Wschód, a wkońcu wystąpi się sądownie, jeżeli zwrócenie uwagi przełożonym masońskim pozostałoby bez skutku".

W zarządzeniu zaś do prefekta policji z d. 2 lipca 1834 Thiers daje taką wskazówkę:

„Wolnomularstwo jest we Francji obyczajem starodawnym i godnym największego oszczędzania. Jeżeli pan dotąd nie wprowadził żadnego agenta siły publicznej do lóż masońskich, nie należy tego czynić dzisiaj".

Okólniki te dotyczą nadzoru nad półjawnemi lożami. Cóż dopiero mówić o nadzorze, choćby nad węglarstwem, które osadziło dynastję orleańską na tronie, które odrazu wzięto w ręce ster wychowania publicznego, tworząc pierwszy raz urząd ministra wyznań religijnych i nauczania publicznego i powierzając go węglarzowi Mérilhou! To też szkolnictwo za Ludwika Filipa przesiąknięte jest ideami węglarstwa. Z koncesyj burbońskich na rzecz wychowania religijnego pozostają pozory. M. Guizot, następca Merilhou na stanowisku ministra, tak określa istotę etyki, stanowiącej w obowiązującym systemie szkolnym najważniejszy przedmiot wychowania publicznego:

„Etyka istnieje niezależnie od idej religijnych. Wszędzie znajdujemy mieszaninę dobrego i złego tak głęboką, tak nieprzezwyciężoną, że, gdziekolwiekbyście dotarli, gdybyście zstąpili do ostatecznych podstaw społeczności i duszy, znajdziecie te dwa porządki rzeczy istniejące obok siebie, rozwijające się jeden obok drugiego, zwalczające się, lecz bez wyłączania się wzajemnie".

W r. 1834 M. Lorrain, wyższy funkcjonarjusz uniwersytecki, przestudjował oficjalne raporty 490 inspektorów, skierowane do ministra Guizot'a i opublikował rodzaj zestawienia ogólnego, w którem pisze:

„Niedola nauczycieli równa się ich ignoracji i lekceważeniu publicznemu, zasłużonemu często przez nich dzięki tej ignoracji; jest to widowisko nieczyste, i serce wzburza się, gdy się czyta o tym chaosie różnych procederów, o tym repertuarze wszystkich błędów, o tym katologu wszystkich ułomności ludzkich. Od nauczyciela, dającego się zastąpić przez żonę, podczas gdy sam poluje na równinach, aż do mordercy, którego inspektor nadarmo szuka w szkole, ponieważ prowadzą go właśnie do pobliskiego więzienia, ileż tu stopniowania w zbrodni!.. Nie wątpię, że, gdyby książka nasza zasługiwała na to, aby zostać zachowaną w bibljotece, pewnego dnia dzieci nasze wstydziłyby się czytać o stanie rzeczy, który u nas nie został nawet zauważony i nie miałyby odwagi w to uwierzyć, choć te zapewnienia oparte są na dokumentach autentycznych". (M. Lorrain: *„Tableau de l' instruction primaire en France à la fin de 1833*).

Cóż dziwnego, że rewolucja 1848 r., wywracając Ludwika Filipa, zmuszona została w zakresie szkolnym do kompromisu z oponentami szkoły państwowej, składającymi się głównie z żywiołów katolickich i wprowadziła do konstytucji 1848 r. następujący przepis, sprzeczny z całą dotychczasową tradycją wolnomularstwa:

„Nauczanie jest wolne. Wolność nauczania ma zastosowanie na zasadzie warunków uzdolnienia i moralności, określonych przez prawo i znajduje się pod nadzorem państwa. Ten nadzór rozciąga się na wszystkie instytucje wychowawcze i szkolne bez wyjątku".

I tak, po 60 latach władania, samo wolnomularstwo musiało zgodzić się chwilowo na przekreślenie swego dorobku, na powrót do systemu szkolnictwa prywatnego. Zachowało tylko skromną zdobycz: nadzór państwa nad szkolnictwem prywatnem. Obok tego zaś wynik, wątpliwej wartości państwowo-twórczej: kilkodziesięcioletnią tradycję szkolnej ruiny.

IV IDEA NAPOLEONA III: TRZECIA RZECZPOSPOLITA

Napoleon trzeci usiłował kopjować politykę swego rodowego poprzednika. Tak, jak on, wyszedł z łona wolnomularstwa i rewolucji, jak on pragnął się instytucją tą posługiwać dla własnych celów. I z podobnym rezultatem jak tamten. Stosunek jego do lóż ujawnia okólnik ministra spraw wewnętrznych de Persigny'ego do wszystkich prefektów z d. 25 maja 1852 r.:

„Panie prefekcie! W większej ilości departamentów loże masońskie zostały zamknięte decyzją prefektów. Nie wątpię, że te zarządzenia były godziwie uzasadnione, lecz poruszyły one cały zakon wolnomularski i wzbudziły obawę, czy rząd nie zamierza zdławić samej instytucji.

Istnieje wzgląd, na który pragnę zwrócić pańską uwagę: Oto loże masońskie podległe są hierarchji i dyscyplinie wewnętrznej, które często wystarczają na to, aby utrzymać afiliowanych członków w granicach ich obowiązków i aby usunąć niewłaściwości, któreby mogły mieć miejsce. Skoro więc zachowanie porządku w lożach można osiągnąć ten sposób, wkroczenie władzy nie wydaje mi się ściśle konieczne.

Pan uzna sam wraz ze mną, panie prefekcie, że ten sposób postępowania byłby lepszy, niż ten, któryby alarmował instytucję, której początek i stare tradycje są godne szacunku.

Wobec tego, gdyby pan uważał, że należy wydać zarządzenia w stosunku do jakiejś loży masońskiej, zechce pan przedtem powiadomić mnie o tem. Doniosę wówczas o faktach, zaszłych w pańskim departamencie, kierownikowi zakonu; w ten sposób tylko w wypadku, gdyby przezeń wydane zarządzenia były niedostateczne, władza będzie musiała interwenjować".

Dyktatura Napoleona III jeszcze w wyższym stopniu, niż dyktatura Napoleona I, wymagała opanowania społeczeństwa. To też poszedł on w swych zarządzeniach, jak każdy plagjator, o wiele dalej, niż jego wzór. Nie mógł się oczywiście zgodzić z kompromisem 1848 r. w sprawie podstaw ustroju szkolnego. To też już w początku swej dyktatury bierze rozbrat z zasadą wolności nauczania i powraca do systemu jednolitej szkoły państwowej. Już w r. 1850 powołuje do życia specjalną komisję z udziałem Thiersa i Cousin'a. Komisja stanęła na stanowisku konieczności wychowania państwowego, zaś sprawozdawca jej, M. Beugnot, tak uzasadnił jej stanowisko:

„Państwo udziela nauki przez swych działaczy, których przygotowuje do tego celu i którymi kieruje. Rozważać, czy państwo ma w zasadzie słuszność, czy nie, biorąc w swe ręce tę wysoką funkcję, byłoby badaniem bezcelowem, ponieważ fakt dokonany z przed lat czterdziestu rozstrzyga to zagadnienie".

W ten wysoce naukowy sposób rozprawiono się z zagadnieniem wolności nauczania!

Ustawa z dn. 15 marca 1850 r. przyjęła zasady komisji. Na czele szkolnictwa staje znowu minister, otoczoną radą przyboczną, pochodzącą z nominacji. Pomocą w nadzorze nad szkołami są mu uniwersytety, jak za Ludwika Filipa.

Rozpoczyna się szerzenie przez szkoły „idei Napoleona III", czyli zgodności wychowania z za-

patrywaniami rządu. Ministrem oświecenia zostaje Fortoul. W dekrecie swym z d. 9 marca 1852 r. mówi wyraźnie:

„Ciała, z których rekrutowały się rady akademickie, uzyskują dziś swe uświęcenie w zgodnościach poglądów z władzą najwyższą, reprezentującą niezaprzeczalnie wszystkie uprawnienia społeczeństwa francuskiego".

Kontrola nad „zgodnością poglądów" nie omija i szkolnictwa prywatnego. Rektorzy tych szkół otrzymują nawet rozkaz szpiegowania personelu nauczycielskiego:

„Posyłam panu wzór notatnika, w którym znajdzie pan w formie pytań, na które pan winien odpowiedzieć, wskazówkę, o jakie informacje musi się pan postarać".

To też przy tak intensywnym nadzorze mógł minister w swem sprawozdaniu z d. 14 kwietnia 1854 r., złożonem cesarzowi, stwierdzić radośnie, że na 1081 istniejących kolegjów prywatnych tylko 12 wzbudziło wątpliwości!

Szerzenie idei Napoleona III dociera nawet do ochronek. Minister oświecenia w kilku okólnikach zwraca prefektom uwagę na potrzebę nadzoru nad ochronkami. Okólnik do prefektów z d. 18 maja 1855 r. zawiera takie wskazówki:

„Ogólny system ochronek jest dziś wykończony. Na szczycie Komitet pod protektoratem J. W. Cesarzowej (duszą jego jest szef sekcji lub wydziału ministerstwa oświecenia, zaś pomocnikami jego są żony ministrów i wysokich urzędników dworskich). Komitet reprezentuje z pożytkiem dla całej Francji istotne interesy tej instytucji. — Dwie panie, delegatki generalne, mają roznosić po wszystkich punktach państwa ideę komitetu, obarczone wysokiem zadaniem utrzymania w całości służby ochroniarskiej jednolitości poglądów i kierownictwa. Wysyła je minister wszędzie tam, gdzie ich obecność okaże się potrzebną. Będąc organami specjalnemi wyższej administracji, panie te nie podejmują same żadnych rozstrzygnięć, lecz komunikują ministrowi wszystkie wiadomości, które mogą spowodować pożyteczne reformy i ułatwić obrady naczelnego komitetu.

Nie potrzeba, abym się rozwodził szerzej wobec pana, panie prefekcie, nad istotą i celem tej instytucji. Zwracam panu tylko uwagę na punkt główny, że ochronki, w myśl art. 1 dekretu, są instytucjami wychowawczemi".

Tak głęboko sięgająca „jednolitość poglądów i kierownictwa" zakończyła się Sedanem. Cesarz sam przestał być cesarzem. Trzeciego Napoleona nie internowali Anglicy na św. Helenie, wystarczyło dać mu wygodny przytułek w Londynie. Nie miał poco wracać do Francji, nie mógł mieć nadziei nawet na Waterloo. Zdaleka mógł tylko obserwować desperacką obronę narodu przed najeźdźcą niemieckim i szaleństwa Komuny paryskiej, nawiązującej jawnie do najskrajniejszych haseł wielkiej rewolucji.

Komuna paryska, wśród walk z oblegającem ją wojskiem rządu Thiers'a, zdołała utworzyć komisję oświaty, która nawiązała do tradycyj Lepelletiera i Robespierre'a. Szkolnictwo zawodowe, przysposabiające do pracy fizycznej — oto jej program. Kosztował ją coprawda niewiele, bo tylko tysiąc franków, wydanych na cele szkolne.

Po upadku Komuny następuje kilkoletni okres niepewności, w ciągu którego wylęga się trzecia rzeczpospolita. Jest to okres, podczas którego masonerja wytęża wszystkie swe siły, by zawładnąć szkolnictwem w mającym się narodzić ustroju. Na kongresie wolnomularskim lóż Wielkiego Wschodu w r. 1871 r. przyjęto zasady, zawarte w okólniku brata de Hérédia. Okólnik ten, stanowiący później podstawę prawa z r. 1882 o bezpłatnem i przymusowem świeckiem nauczaniu państwowem, warto przytoczyć w całości:

„Do braci delegowanych na kongres wolnomularski z r. 1871. — Petycja na rzecz nauczania przymusowego, bezpłatnego i świeckiego.

Wielce Dostojni Bracia. Mamy zaszczyt podać wam do wiadomości, że loża pod Gwiazdą polarną Wschodu w Paryżu — Batignolles mniema, że winna wziąć na siebie zainicjowanie w łonie lóż podległych Wielkiemu Wschodowi Francji petycji ogólnej na rzecz przymusowego, bezpłatnego, świeckiego nauczania.

Godzina uroczysta; prawo, dotyczące szkolnictwa, będzie w ciągu najbliższej zimy przedstawione Zgromadzeniu narodowemu i zostanie przedyskutowane. Sądzimy, że jest obowiązkiem. wolnomularstwa wziąć udział w tem nowem dziele, które jest w przygotowaniu. Zagadnienia nauczania są ważniejsze, niż agitacja polityczna; dlatego też należą do nas. Jesteśmy dzięki naszemu pochodzeniu i naszym zasadom pracownikami postępu, który — jak wiemy to wszyscy — może się dokonać w świadomości ludzi tylko przez oświecenie i nauczanie.

Zgromadzenie ogólno-masońskie z 9 września może dać naszej idei petycji cenne i ostateczne uświęcenie. Pośpieszamy więc, aby ją wam przedłożyć i zapraszamy was, Wielce Dostojny Bracie, do głośnego objawienia waszych przekonań, które, czego jesteśmy pewni, są również i naszemi, oraz do podania do wiadomości Zgromadzeniu, którego posiedzenia wkrótce się zaczną, życzeń waszych Lóż w wielkiej sprawie nauczania. Jeżeli te życzenia odpowiadają naszym, zażądamy, aby Konwent autoryzował naszą propagandę i dał nowej radzie Zakonu polecenie scentralizowania petycyj Warsztatów podległych, aby z tego ułożyć dla biur Zgromadzenia narodowego ogólne *résumé* w imieniu wolnomularstwa francuskiego. Życzymy sobie gorąco, aby wasz współudział został nam zapewniony i abyście nam pomogli przezwyciężyć spodziewany opór.

Połączmy się wszyscy dla wspólnego działania i nie dajmy się wstrzymać rozważaniom przesadnego rozsądku. Rozwaga byłaby w obecnym wypadku prawdziwem wyrzeczeniem się. Czas, abyśmy wyskoczyli śmiało na arenę i walczyli w tym wielkim dniu o nasze zasady i o nasze wierzenia. Nie możemy zachować się obojętnie w sprawie, od której zależy przyszłość kraju i postęp ludzkości.

Po głębokiem zbadaniu sprawy przyjęliśmy następującą formułę, która, jak mniemamy, odpowiada w zupełności wymaganiom prawa społecznego, a jednocześnie uwzględnia przywileje Wolności, których nie wolno nam nigdy naruszyć.

Żądamy:

Przymusowego nauczania początkowego dla wszystkich, bezpłatnego i świeckiego w szkołach publicznych i gminnych — wolnego jednak wszędzie w zakresie organizacji i programów.

W Warsztacie naszym podnosiły się często autorytatywne głosy, skarżące się na upadek wolnomulastwa w ostatnich latach. Oto sposobność, może jedyna, do ujawnienia naszej siły i do utwierdzenia naszych przekonań. Nie dajmy jej minąć.

Dzieło, do którego was wzywamy, okryje nas czcią wobec historji i bez względu na wynik — conajmniej zaświadczy o naszem niezmiennem przywiązaniu do sprawiedliwości i wolności".

Przez kilkanaście lat loże masońskie francuskie zajmują się intensywną propagandą tych zasad. Poświęcają tym zagadnieniom szeregi odczytów dla swych członków, powołują do życia przy Wielkim Wschodzie coś w rodzaju Wolnej Wszechnicy, która w r. 1880 liczy już 1500 słuchaczów i słuchaczek. Ustaliwszy w konstytucji 1875 r. ustrój republikański Francji, przeprowadzają w r. 1882 swoje postulaty szkolne. Tworzy się szkolnictwo państwowe bezreligijne, kierowane przez masonerję. System patentów państwowych zamyka drogę szkolnictwu prywatnemu, gdyby chciało się oprzeć na innych zasadach. Wkończu rozdział Kościoła od państwa i zamknięcie zakonów i szkół klasztornych, pozbawionych zresztą praw państwowych, nawiązuje ostatecznie do spadku ideowego wielkiej rewolucji.

Na tem rzecz się nie kończy. Od początku XX w. aż po dziś dzień trwa we Francji dyskusja, mająca na celu wykończenie zasad jednolitej szkoły państwowej. Pojawiają się projekty krańcowe. Żąda się koncentracji szkół wszelkich typów w jednym budynku, od decyzji władzy państwowej pragnie się uzależnić, czy ktoś ma się kształcić wyżej i do jakiego zawodu ma się sposobić. Wszystkich przelicytowali komuniści, nawiązujący do programu Lepelletiera, Robespierre'a i Komuny paryskiej, a dzisiaj na dodatek sowieckiej Rosji.

Adrien Leroux, brat 33 stopnia, Najwyższy Wielki Inspektor Generalny przy Wielkim Wschodzie w książce swej *„La Franc-maçonnerie sous la 3-me republique“* tak pisze o nauczaniu masońskiem: „Dajcie mi w ciągu wieku nauczanie publiczne, mówił Leibnitz, a zmienię świat. Masonerja nie czekała, aż je jej dadzą; wzięła je sobie. Istotnie strategja masońska w tej dziedzinie skupia wszystkie swe siły, zaś, aby dobrej woli walczących o wychowanie masońskie dodać odwagi, rozdaje im wzamian za oddane usługi najwyższe wynagrodzenia, jakie tylko może dać“.

V. UWAGI KOŃCOWE

Ukazaliśmy na podstawie dokumentów, jakim kosztem wolnomularstwo realizowało swe doktryny, aby owładnąć przez szkołę jednolitą i przez wychowanie państwowe umysłami narodu francuskiego. Po dziś dzień robota nie jest skończona i niewiadomo jeszcze, jakich kosztów finansowych i moralnych domagać się będą dalsze eksperymenty wolnomularstwa.

Francja była i jeszcze dotąd (poza Rosją oczywiście) głównym terenem doświadczalnym. Nie mniej przeto nie pomija się i innych krajów.

Usiłuje się nas bezustannie trzymać pod urokiem haseł pedagogicznych, zdekonspirowanych doszczętnie w okresie wielkiej rewolucji. Żaden skok nie dzieli komunizmu Babeuf'a od teorji Marksa i od państwa Lenina.

Projekty Robespierre'a w sprawie wychowania, a dzisiejsze projekty komunistów francuskich — to mniej więcej jedno i to samo.

Od 160 lat conajmniej jakaś czarna ręka legła na podstawowych zagadnieniach wychowania i powodzią nowych projektów, posuwających swą doktrynę do krańców logiczności zdradza, że nie dopięła jeszcze swego. Ciągle burzy i buduje na nowo, aby znowu zwalić w gruzy własny twór. Mówi się ciągle o reformach, a ma się na myśli eksperymenty, wiwisekcję nowych pokoleń. Różnoraka treść, przyczepiana do haseł wychowania państwowego i szkoły jednolitej, znaczy zawsze jedno i to samo: rządy wolnomularstwa lub wyszłych z niego innych organizacyj wywrotowych. A mimo wszystko ciągle nie udaje im się dociągnąć. Doktryny trzeba siłą wtłaczać w życie, a ono wyrzuca je z siebie z powrotem. Dlaczego? Odpowiedzmy słowami Napoleona I: „Niedaleko zajdzie, kto już od początku wie, dokąd dąży“.

Wychowanie otrzymuje formę głoszonych doktryn, lecz — wbrew nim — wypełnia się treścią żywą, dobywającą się z głębin duchowych narodu. O tę opokę rozbijają się wszelkie wysiłki. Zawodzą próby powtarzania eksperymentów, próbowanych w odległej przeszłości także bezskutecznie.

Mimo to powtarzanie historji jest nieuleczalną manją tajnych organizacyj, pragnących narzucić światu swoje ślepe doktryny. W takt ich batuty tańczą ludzie, nie znający historji, a pozbawieni zmysłu rzeczywistości. Spożywają z zachwytem odgrzewane hasła, pełni zachwytu dla kucharzy, dających im w tej odgrzewce smak czegoś nieznanego, trącącego rodzimą twórczością i podlanego... sosem postępu. Historja lubi powtarzać swe ostrzeżenia, lecz nie wraca. Wyrywanie instytucyj, wrosłych w życie, byłoby dzisiaj równie doktrynerskim zabiegiem, jak szczepienie nowych doktryn *par force*. Szczytem jednak doktrynerstwa—to dla satysfakcji Zakonu brnąć głębiej w błoto.

HENRYK ROLICKI

ZMYSŁY ARTYSTYCZNE

Tylko dwa z pośród pięciu zmysłów ludzkich, mianowicie — tylko słuch i wzrok dostarczają sztukom pięknym środków wyrazu i porozumienia, oraz fizycznego tworzywa artystycznego. Wrażenia pozostałych zmysłów — dotyku, smaku i węchu — sztuka może wywoływać jedynie za pośrednictwem dwóch tamtych (prawem synestezji), albo za pomocą pojęć w mowie ludzkiej zawartych (prawem kojarzenia pojęć z wyobrażeniami, a wyobrażeń — z wrażeniami).

Wiadomo, że dotyk jest zmysłem podstawowym, a cztery następne są jego rozwinięciem. Ze względu na zasięg, wytworność i obszar wrażeń można zmysły ludzkie ustopniować w sposób następujący. Najuboższy jest dotyk, jako ograniczony do bezpośredniego zetknięcia się ciała z powierzchnią przedmiotów. Dotykiem wytworniejszym jest smak, bo wnika w niektóre chemiczne własności przedmiotów, ale zakres jego doświadczeń (z małym wyjątkiem) zacieśnia żołądek. Węch jest smakiem rozpylonym. W porównaniu ze smakiem traci on pewną ilość zjawisk rozpoznawanych (a znów inną — zyskuje), ale uniezależnia się od brzucha i bogatszy jest w zasięgu przestrzennym. Słuch jest dotykiem wyłącznie w dziedzinie dźwiękowej wrażliwym, a wybiega w świat zewnętrzny o wiele dalej, niż dotyk, smak i węch. Wzrok, wreszcie, pobiera (raczej — stwarza) największą ilość kategoryj wrażeń, a sięga w oddale astronomiczne.

W naszkicowanej tu hierarchji zmysłów słuch i wzrok wyróżniają się przedewszystkiem tą cechą, że dla jaźni ludzkiej stanowią łącznik z największą ilością bliskich, dalszych i bardzo odległych przedmiotów i zjawisk świata zewnętrznego. Dwa te zmysły stanowią, rzec można, skrzydła duszy ludzkiej. Dzięki nim wyobraźnia człowieka ogarnia ogromy i piękno niebios, oceanów, gór, gwiazd, poematy i dramaty chmur. Przez nie step do nas przemawia i bór, milczenie pustyń, zwierząt wielogłośny chór, barwne kilimy ranków, dni, wieczorów. Przez nie nam mowa ludzka bliska i bogata głosem, gestem, twarzy wyrazem, postawą i ruchem. Przez nie prowadzą drogi do wszelkich prac ludzkich, wiedzy rozległej i nauk. Nie dziw tedy, że na podłożu obu tych zmysłów powstały także sztuki.

Bogactwo słuchu i wzroku pomnaża jeszcze ta ich właściwość, że odczuwają wiele zjawisk należących do dotyku. Uchem i okiem umie człowiek oceniać różne rodzaje twardości, miękkości, gładkości, szorstkości i t. p., a stąd przez synestezję i analogję wprowadza je tam nawet, gdzie one nie istnieją. Mówimy np. o barwach i dźwiękach „twardych, miękkich, ciepłych, zimnych” i tak dalej, a do określeń tego rodzaju wciągamy nawet wrażenia smaku, jak oto: „słodki, mdły koloryt, niesmaczny strój, cierpki głos” i tym podobne. Tylko węch jest u człowieka tak samoistny i nieużyty, że wrażeń swoich wcale niemal wyższym zmysłom nie udziela. Może ma słuszność, bo wtedy życie wśród ludzi stałoby się całkiem już nie do zniesienia.

Uczyńmy krótki przegląd sztuk, aby przekonać się doświadczalnie o wyłącznym z pośród zmysłów władaniu w nich słuchu i wzroku. Cztery sztuki plastyczne posługują się tworzywem i środkami, które

oceniamy tylko wzrokiem. Są to — rysownictwo, malarstwo, rzeźbiarstwo i budownictwo. Do dziedziny wzroku należy również całkowicie tancerstwo. Muzyka opiera się wyłącznie na słuchu. Poezja działa częściowo za pośrednictwem słuchu—a pozatem dociera do zmysłów przez pojęcia. W aktorstwie przewodnikami są słuch (dla głosu aktora) i wzrok (dla gestu). Dramaturgja objawia się albo przez aktorstwo nieme (a więc drogą wzroku), albo przez połączenie aktorstwa z poezją (więc drogą wzroku, słuchu i pojęć), albo przez samą poezję (w książce)— zatem drogą słuchu i pojęć. Zmysły niższe, jak widzimy, nie biorą w sztukach udziału bezpośredniego. Możemy przeto słuch i wzrok nazwać zmysłami artystycznemi.

Uwagi powyższe w sposób przemyślny i podstępny (bo nawet tytułem zamaskowany) prowadzą czytelnika przed wrota pewnej sprawy, którą obiecywałem niedawno omówić osobno, mianowicie do... kucharstwa. Proszę przyznać, że to jest zwrot niespodziewany! Objechać tyli świat, żeby przed taką stanąć gontyną! Ale tu pachnie smakowicie, a nawet — estetycznie, tylko nie artystycznie. Zestawienie ostatnie nie jest przeciwstawieniem, stanowi jednak różnicę zasadniczą. Zmysły, które nazwałem niższemi, — dotyk, smak i węch — mogą dostarczać nam wielu wrażeń estetycznych, ale nie mogą tworzyć z nich syntez artystycznych. I tu, o ile mnie pamięć nie myli, Guyau w Pirenejach znalazł się na drodze do dużego błędu. Kucharstwo nie może być sztuką właśnie dlatego, że obraca się wyłącznie w dziedzinie smaku i węchu — dwóch zmysłów z natury swej do artyzmu niezdolnych. To jest teza, lecz jeszcze gołosłowna, trzeba ją zatem bodaj w jedno giezełko dowodu przystroić.

Na całym obszarze swoich zjawisk sztuki piękne tem się odznaczają i od innych sztuk (łamanych i miesionych) tem się odróżniają, że ich silnikiem jest wyrażanie duszy artysty, czyli — jego wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń. Otóż tego silnika nie posiada kucharstwo, a to dlatego, że pogrążone jest w zmysłowym żywiole smaku, który nie ma najmniejszych uroszczeń do wyrażania swoich wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń, a zadowolenie swoje ogranicza do doznań. Nie wyrażanie jest jego ambicją, lecz tylko doznawanie pewnych poczuć zmysłowych. Smak, dotyk i węch — są to zmysły bierne, wyłącznie doznawcze podczas gdy słuch i wzrok mają w sobie ponadto rozpęd wyrażania swoich poczuć, są czynne i twórcze. Dzieje się to zapewne dlatego, że owe trzy zmysły niższe bardzo ciasny krąg świata zewnętrznego ogarniają, są przeto ciężkie i tak leniwe, że nawet wiele swoich własnych obowiązków ustąpiły dwum zmysłom wyższym — (jak naprzykład niektóre czynności wywiadowcze węchu u człowieka, przekazane uchu i oku).

Bezinteresowność, na którą wskazuje filozofja jako na rodową cechę sztuki, jest właśnie bezinteresownością wyrażań w przeciwieństwie do interesowności doznawań. Smak i węch, a przez nie — kucharstwo są interesowne, bo istnieją tylko dla doznań. Nie można sobie wyobrazić kucharza — zawodowego czy przygodnego — którymby świadomie czy bezwiednie kierowała wola wyrażania swoich wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń. Poza celami praktycznemi kieruje nim tylko wola doznań (własnych lub cudzych, co różnicy nie czyni). Stąd też kucharstwo, jak zresztą każda praca i czynność człowieka, może się wznieść do bardzo wytwornych wrażeń estetycznych, ale progów artyzmu przekroczyć nie może.

Jak w stolarstwie i mnóstwie innych prac, tak też i w kucharstwie istnieje, oczywiście, stosowanie sztuk, mianowicie — sztuk plastycznych. Barwy i kształty ciastek, tortów, majonezów, jarzyn, przypraw, likierów, pieczyw, mięsiw i t. d. — ukazują nam szerokie w kucharstwie stosowanie rysownictwa, malarstwa, rzeźbiarstwa i budownictwa artystycznego. To nam sądu o kucharstwie nie zmąci. Jak w swoim czasie oddzieliliśmy sztukę od rzemiosła w stolarstwie, tak i tu z łatwością wyodrębnimy wszystkie pierwiastki, do innych sztuk należące. W kucharstwie jednak ta wyjątkowa trudność pozostaje, że nawet ze wszelkich zdobin obcych ogołocone, jeszcze rozporządza wrażeniami (smaku i węchu), a nawet skojarzeniami pewnych wzruszeń i wyobrażeń, co może prowadzić — i niejednego estetologa zaprowadziło! — do wniosku, że kucharstwo jest sztuką odrębną i samoistną, na Parnasie z innemi muzami zamieszkałą. Sądzę zatem, że potrzebny był mój wywód, wyżej podany, a przed nim — wstęp, o hierarchji pięciu zmysłów ludzkich traktujący.

Obecność w dziełach kucharskich pewnej ilości upodobań człowieka (smakowych), a więc, jakoby, wyrażanie wrażeń nie stanowi tu cechy zasadniczej, ale wtórną i pomimo woli towarzyszącą. Kuchnia niemiecka jest ciężka, a francuska — lekka. Ale w tym samym stopniu wszystkie — od obuwia do filozofji — wyroby niemieckie są ciężkie, a francuskie — lekkie. Człowiek wyraża te i owe właściwości duszy swej, ciała i ducha w każdym ruchu, nie tworząc jeszcze przez to dzieł sztuki. Dopiero świadoma lub bezwiedna wola wyrażenia swoich wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń stwarza pierwszy, nieodzowny warunek powstania dzieła sztuki (lub, bodaj, jego cząstki). Wola ta objawia się czasem w człowieku, jako chęć stworzenia czegoś pięknego. Lecz piękno jest w artyście tylko nazwą wzruszania, które pragnie się wyrazić i utrwalić w świecie zewnętrznym.

Trzy zmysły niższe żyją wyłącznie w sferze doznawczej i są odcięte od woli wyrażania poruszeń duszy ludzkiej. Oprócz ubóstwa ich zasięgu przyczyniła się do tego jeszcze ta okoliczność, że nie można dowolnie i na szerszą skalę zarządzać zjawiskami, które na te trzy zmysły działają. Z dotknięć, posmaków i zapachów niepodobna dowolnych tworzyć zestawień o ciągu określonym, mającym jakąś ideę przewodnią. Innemi słowy — niepodobna łączyć ich w syntezy artystyczne, czyli — w dzieła sztuki (albo w ich cząstki). Natomiast zjawiska, działające na słuch i wzrok, oprócz wielkich bogactw przedmiotowych i ogromnego zasięgu przestrzennego, z nadzwyczajną łatwością, poddają się zarządzeniom woli ludzkiej — ciągom, skupieniom i zestawieniom. Linje, płaszczyzny, bryły, kształty, barwy, dźwięki, gesty, ruchy, które przyroda i wynalazczość ludzka nagromadziły w ilościach nieprzebranych — oto nieogarnione bogactwa tworzywa słuchowego i wzrokowego, któremu człowiek dowolnie rozkazywać może. Dlatego w trzech zmysłach niższych, jeżeli nawet była kiedy wola twórczości artystycznej, to w bezruchu zamrzeć musiała, w dwóch zaś wyższych już od praczasów zwierzęcych rozwijała się swobodnie i do wspaniałości ludzkich tworów dorosła.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

Kryzys psychiczny i moralny. — Psychoza wyścigu i licytacji. — Ludzie jak piasek, życie jak pustynia. — Sumienie staje się wrogiem. — Rozdarcie duszy między legendę a rzeczywistość. — Stan likwidacji i twórczość

PRZERWANO nam ostatnią rozmowę, jak w telefonie. *Vis maior!* Zyskawszy po dwu tygodniach połączenie, muszę uprzedzić, że rozmowa obecna będzie tyczyła zjawisk moralnych. Byłoby to już bardzo groźne położenie społeczeństwa, gdyby zagadnienia moralne należały do najdrażliwszych.

Słuchałem niedawno przemówień w Sejmie z loży, w której było kilku poważnych jegomościów. Zadziwiło mię, że dystyngowani ci panowie, przeważnie już osiwiali i z życiem politycznem pewno obyci, zachowywali się niesamowicie. Miałem wrażenie, że siedzę między Sanojcami lub Wyrostkami, rwącymi się do manifestowania swych namiętności politycznych. Zwłaszcza podczas przemówień posłów z Klubu Narodowego każde niemal słowo budziło w nich niezadowolenie, które się wyrażało w pomrukiwaniu lub w przygadywkach: „tak" — „aha" — „wybyście zrobili lepiej"...

Niezliczone są sposoby okazania pogardy, czy nienawiści, więc nie zdołam oddać w całej pełni muzyki pomruków i pantominy uśmiechów porozumiewawczych, za pomocą których panowie ci usiłowali uzgodnić między sobą negatywne wybec mówców stanowisko. Czynili bowiem tę grę dyskretnie, aby ich nie było słychać na sali, czynili między sobą i dla siebie. I to mnie właśnie zastanowiło. Po dłuższej dopiero obserwacji zrozumiałem, o co im chodzi. Grali rolę przed sobą nawzajem, licytując się.

I żal mi ich było. Jeden niedowierza drugiemu, jeden boi się drugiego, każdy manifestuje swoją lojalność — ba — gorliwość lojalności. Robi to w pośpiechu, aby wyprzedzić kolegę, ten zaś aby tamtego przelicytować. Robią to bez sensu, bez względu na treść słów, które ich dochodzą od mówcy. Przypatrywałem się im bacznie. Znam się na twarzach i wiem, z jakiego która pochodzi kompleksu rasowego i społecznego, nawet politycznego. Inne przecież jest oblicze łobuza, inne człowieka statecznego. Widzę takiego pana w gronie domowem, poufnie rezonującego z kimś poważnym. Ręczę, że to Polak o los kraju zatroskany, w każdym razie stateczny i konserwatywny z przekonań, dla którego zasady narodowe są punktem wyjścia w ocenie spraw publicznych. Być może galicjanin z zawodu, ale przecież nie łobuz. Tymczasem tutaj kwestjonuje najelementarniejsze wskazania rozsądku, wypowiadane przez doskonałego znawcę budżetu i wielkiego patrjotę, wskazania bezsporne.

Chwilami porywa go widocznie treść słów i zapomina swej roli. Ale to sekundy; wnet przytomnieje i w najniewłaściwszem miejscu — ni w pięć ni w dziewięć — wydaje z siebie gniewne, złe słowo, zerkając przelotnie na sąsiada, czy nie spostrzegł jego słabości. Tamten oczywiście zdwaja dawkę urągliwości.

To też gdy mówca budżetowy w pewnym momencie zwrócił uwagę ministrowi skarbu, że nie uratuje budżetu przez obrywanie urzędnikom skromnej i tak płacy, — trzeba było widzieć katuszę na twarzach moich sąsiadów, jaki to był Brześć! Wytężyli słuch, ręce poruszyły się, jak do oklasku — chwilę poczekali na siebie, badając się przez skórę, ale wnet jeden twarz ułożył szyderczo na wszelki wypadek, drugi mruknął pośpiesznie, a trzeci już zagadał do tamtych szeptem pełnym zgrozy o bezczelności poselskiej.

Patrząc na tych panów, zrozumiałem, że w takim stanie psychicznym żadnej pracy wykonywać nie można, ani złej, ani dobrej, że w tych warunkach życie przenosi się wogóle poza politykę, etykę, psychologję, bo to jest psychoza.

Wiele się teraz mówiło i w parlamencie i w prasie o t. zw. akcji imieninowej, Skąd ona powstała? Cóż napozór prostszego, jak wyrażenie solenizantowi uczuć? Tymczasem wynikła wielce skomplikowana historja. Wszystkie bowiem pojęcia państwowe, prawne, społeczne, obyczajowo-towarzyskie, pojęcia przyzwoitości, nawet praktyczności zmieszały się w jakiś jeden bezkształtny amalgamat, nad którym już nikt nie ma panowania. Wszystko samo się robi w drodze panicznej licytacji, której obrazek wyżej pokazałem.

Wyobraźmy sobie psychikę komitetu imieninowego. Rzucono ideę dobrodusznie małomieszczańską kartki pocztowej.

— Ale tych kartek musi być dużo, żeby był efekt, — ktoś dorzuca.

— Tysiące!

— Setki tysięcy — dodaje gorliwszy. Ale są też inni gorliwi:

— Miljon!

— Dwa miljony!

— Trzy!

— Cztery!

— Pięć!

Nie wiadomo, dlaczego stanęło na tej liczbie, boć ludności w Polsce mamy ze 30 miljonów. Poprostu wyczerpała się lista obecnych; komitet był zamały. Ale trzeba kartki ulokować, jako laurki osobiste. Wiemy już dzisiaj, co z tej gorliwości wynikło. Niesłychany zamęt w szkole. Wychowawcy zachowywali się, jak w panice. Doszło do takich rzeczy, że zajmuje się niemi Sejm w drodze interpelacyj. Dzieci podzieliły się na obozy. Panika wychowawców udzieliła się maturzystom. Zaniepokojono instytucje społeczne, gminy, sfery handlowe i nigdzie nikt nie wiedział, jak wybrnąć obronną ręką z tej sytuacji.

Pokazało się, że impreza nie była dostatecznie przemyślana jako suggestja czynu zbiorowego. To strona polityczna; ale nawet, samo technika roboty przekonała, że w stanie psychozy nie podobna nic porządnie wykonać, nawet pod przewodnictwem tak genjalnego człowieka, jak b. marszałek Szymański. Nie mówię już o bardzo drażliwej sprawie pogłosek o ludziach, którzy nawet w tak wyjątkowych warunkach nie tracą głowy do tego stopnia, aby zapomnieć o swym zarobku; wystarczy wspomnieć o podniesionym w prasie zarzucie, że nawet adres błędnie po francusku był zredagowany, że nie dowiedziano się wpierw, ile kosztuje poczta na Maderę, wskutek czego kartki wracają do Warszawy, narobiwszy Europie wiele kłopotu... Cała ta nadzwyczajna parada laurkowa, do której „sanacja" tyle czasu się przygotowywała, starczy chyba za dowód, że nie każdy stan psychiczny jest twórczy, choćby subjektywnie wydawał się radosny.

W tym stanie niczego nie da się zrobić z sensem.

Tak ściśle trzymam się gruntu psychologicznego, że nie widzę nikogo, ktoby mógł winę tego wszystkiego wziąć na siebie. Jest to już działanie atmosferycznej w pewnych kołach psychozy, silniejszej od świadomości jednostek. Jeden człowiek tegoby nie wymyślił; to jest lawina katastrofalna chaosu moralnego, nie dająca się zatrzymać, gdy otwarto dla niej drogę na tę pochyłość licytacyjną. Każdy, nawet na wysokiem stanowisku, wie, że mogą być i są jeszcze gorliwsi.

Co się dzieje gdzieindziej, jeśli między dziećmi w szkole są już karjerowicze i to podwójni: jedni pragną się zasłużyć przez licytowanie się w gorliwości, a drudzy przez donoszenie, komu potrzeba, o nielojalności innych. W rezultacie nikt nikogo niby nie zmusza, ale wytworzył się jakiś prąd, który niesie wartko do absurdu.

Któżby np. zmusić mógł prof. Michałowicza, obecnego rektora, do walczenia ze szlachetną młodzieżą uniwersytecką, która prądowi się nie poddaje? Rektor nie chce użyczyć sali na zebranie Bratniej Pomocy. Dlaczego? Bo to młodzież narodowa, nie państwowa — teraz tak podzielono społeczeństwo. Gdyby psychoza pozwalała wejść mu w siebie w celach porachunku sumienia, toby łatwo uprzytomnił sobie, że tego typu młodzież jest chlubą Polski. Ale pan Michałowicz (który, jak pisaliśmy, już sam nie wie, czy jest Michałowiczem czy Michałowskim) nie może w tej chwili myśleć samodzielnie. Entuzjazm radosnej twórczości ma w sobie dużą przymieszkę paniki na tym właśnie punkcie, że ktoś obok może być jeszcze radośniejszy.

Któż dziś nie bierze udziału w tych zawodach? Są dżokeje płatni, ale teraz i „panowie jadą sami“, a niema takiej przeszkody, którejby nie brali: furda prawo, a cóż dopiero etyka! Zrzucają z siebie przedewszystkiem dżentelmenerję — dla dobrej wagi. „Nie trzeba nam od was uznania“ — mawia Radziwiłł. Gdyby nie ta psychoza, czyby się tak „sypał“ co krok jako *causeur* polityczny?

Taki Wojciech Rostworowski podejmuje się dowieść w Senacie, w dyskusji budżetowej, gdy mowa o stosunku do Kościoła, że jedynym czynnikiem w Polsce, który zakłóca ten stosunek, jest obóz narodowy. Jest tak zachwycony żarliwością katolicką swoich nowych przyjaciół, że nie zdaje sobie sprawy, ile w jego prozelityzmie jest entuzjazmu radosnej twórczości sankiulotów, oddających się bardzo nie po katolicku deifikacji człowieka. P. Rostworowski tak się zlicytował, że się nie zastanawia, czy nie byłoby zdrowiej dla konserwatysty zachować trochę szacunku dla prawdy — no i dla siebie samego.

Psychoza tego rodzaju przeszkadza owocnej pracy z tego powodu, że umysły nią zaczadzone, nie mogą liczyć się z rzeczą, którą mają załatwiać. Umysł w stanie tworzenia legendy nastawiony jest tak subjektywnie, że przedmiot (samo *meritum* pracy) staje się dla niego czemś niegodnem zastanowienia. Jeśli zaś wprowadzimy tutaj czynnik psychiczny wyścigu, czynnik ekstatyczno-paniczny, decydujący w psychologji tłumu, to wtedy życie publiczne staje się podobne pustyni, na której ludzie, niby piasek porywani w górę wirami powietrznemi, zasypują wszystkie drogi, wytknięte przez ludzi, rzeczy pospolitej oddanych.

Widzieliśmy, że w tym stanie niepodobna wykonać porządnie nawet drobnej rzeczy, która się wydaje poniekąd specjalnością, cóż dopiero mówić o zadaniach pełnych odpowiedzialności. Praca polityczna, regulująca dzieje narodu, nastręcza co krok kwestje wprost tragiczne. Jakże wtedy? Niestety i wtedy każde zagadnienie wydaje się czemś bardzo względnem. Mieliśmy tego przykłady w czasie debat nad ratyfikacją umowy likwidacyjnej i umowy handlowej z Niemcami w Sejmie i Senacie. Senator z Poznania Marjan Seyda, polityk znający się na rzeczy, b. minister, autor wielkiego dzieła „Polska na przełomie“, przedstawił wstrząsający obraz rzeczywistości i pytał, dlaczego mamy zawierać umowę, do której nas nie zmusza konieczność, a która osłabić może naszą moc obronną na zachodzie. Zrzekając się prawa likwidowania osad niemieckich na pograniczu, wzmacniamy na naszej ziemi pozycję Niemiec, którą dzięki przemyślności Bismarcka gwałtem zdobyli w drodze wywłaszczenia i kolonizacji. Minister Zaleski, motywując ten punkt, daleki był od tragiczności:

„Nie zapominajmy — mówił — że osad rentowych niemieckich w Polsce wogóle pozostało tylko około 13.000, co w przeszło 30-miljonowem państwie stanowi minimalny odsetek“.

Powiedziane to było, jak widzimy, w pewnem roztargnieniu, boć przecie chodzi w tym wypadku o stosunek do granicy, nie do kraju całego; oceniając rzeczy tego rodzaju statystyką, łatwo niedecenić znaczenia nie tylko osad niemieckich, ale nawet wojsk niemieckich, bo cóż znaczy korpus wobec 30 miljonów ludności. Ale nie o to tylko chodzi. Mówcy B. B., popierający wniosek ratyfikacji, nie tylko okazali zupełną obojętność na argumenty rzeczowe, ale wpadli w złość, że posłowie narodowi zawracają głowę jakiemiś skrupułami i opóźniają głosowanie; jakby tylko chodziło o to, żeby wniosek przeszedł w tej a nie w innej dacie marca. Nie mieli już głowy myśleć o czemkolwiek innem. Żaden argument rzeczowy, interesu narodowego, nie zdołał trafić im do serca; owszem, tak dalece było im to wszystko obce, że nie wahali się w złości rzucić posłom narodowym brzydką insynuację, że działają z nienawiści do Niemiec, że są nielepsi od szowinistów niemieckich...

W Senacie również podczas debaty nad ustawą alkoholową, która wyrządzi wielką krzywdę ludowi, senatorka z obozu rządowego, zmuszona przyznać słuszność opozycji, zdławionym ze złości głosem skarciła swoje własne sumienie, zwracając się do opozycji z pretensją, że prawdę wysuwa i psuje nastrój.

Prawda przeszkadza radosnej twórczości. Współżycie legendy z rzeczywistością dlatego jest niemożliwe, że gdy prawda daje się sprawdzić objektywnie i ustala człowieka, to legenda, nie kładąc kresu fantazji, tak oddala człowieka od rzeczywistości, że wreszcie ta ginie z oczu. Dusza, któraby chciała te dwie rzeczy łączyć, przebywa kryzys. Więc kiedy kryzys kryzysem pogania i na kryzysie jedzie, nie można ich powstrzymać, ani odosobnić, bo łączy je i wzmaga kryzys najcięższy — moralny.

Człowiek w stanie kryzysu moralnego nie może być twórczy, jest bowiem w likwidacji. To też jest rzeczą wprost żartobliwą w tych warunkach proponowanie pracy nad reformą konstytucji. Niechże Bóg broni taki stosunek do rzeczywistości stabilizować. A Polska musi być rzeczywistością; nie da się zużyć na legendę.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

O TEM JAK DZIECI POLSKIE MIAŁY KOCHAĆ WILHELMA II NA ROZKAZ

W „ŻYCIORYSIE własnym robotnika", jaki to życiorys ukazał się wydany staraniem Polskiego Instytutu Socjologicznego, autor tej biografji, wielkopolski robotnik Jakób Wojciechowski daje nam wspominek czasów szkolnych swoich, spędzonych w pruskiej szkole:

„I jednego razu to my bicie dostali wszyscy bez wyjątku, bo nadeszły królewskie urodziny, a my żadnej korony nie upletli na obrazy królewskie które na ścianie wisiały. I nasz nauczyciel mówił: „Żebyście chociaż jakie korony jeno ze suchych pokrzyw, albo jałowca upletli, to by już dobrze było", ale ani jednej korony nie upleść, to tego nam darować nie może. I chłopcy dostali po cztery na portki, a dziewczęta po cztery na ręce".

Niewiele już jest zapewne w Europie krajów, gdzie potrafionoby dziś objąć wyobraźnią podobną możliwość wbijania wiernopoddańczości *via* sposób, przez robotnika Wojciechowskiego opisany. Dla każdego Europejczyka wydaje się to zapewne czemś fantastycznem, jednak podobne bezeceństwa i podobne idjotyzmy działy się przed trzydziestoma kilkoma laty w Prusiech pod panowaniem Wilhelma II.

W Prusiech i pod panowaniem Wilhelma II— to nam wiele tłomaczy.

Wystarczy czytać pamiętniki dawnych wielbicieli i służalców Wilhelma II, dziś już niezależnych w swych pojęciach „obywateli" (czyli upewnionych, że gwiazda Wilhelma nieodwołalnie zgasła: mogą sobie więc pozwolić na szczerość) — wystarczy czytać choćby wspomnienia Buelowa, a jasnem się staje, że ostatni cesarz niemiecki, a król pruski miał się za mesjanicznego wybrańca historji. O tem, by tę bzdurę wybić mu z głowy, nie było mowy, a skoro tego uczynić nie można było, więc nie pozostawało nic innego, jak tylko o manji Wilhelma dostosować cały ustrój moralny państwa. W ministerjach królestwa pruskiego nakazane było gromadzić jaknajwięcej dowodów' że cały naród *sua sponte* uważa swego monarchę za postać wyjątkową ze szczególnej skłonności Opatrzności dla Niemców zesłaną, jedyną i bez której los Niemiec zawisłby pod znakiem zapytania. Ustawiony przez siebie samego na ołtarzu germańskim, Wilhelm II potrzebował nieustannych dawek kadzidła i religijnego uwielbienia i rzeczą podwładnych dykasteryj administracyjnych było dostarczać tego odurzającego dymu.

Ponieważ normalny bieg myśli ludzkiej nie mógł dyktować obywatelom podobnych religijnych myśli, czyli bez nakazu nie mogłoby dojść do uzyskania dostatecznej ilości i jakości kadzidła, więc musiano się uciekać do surowego terroru w tym względzie. Po przeczytaniu tych kilku wierszy wspomnienia szkolnego Wojciechowskiego skłonni jesteśmy zapewne jaknajgorsze powziąć wyobrażenie o tym okrutnym jego nauczycielu, który bił biedne dzieci za to, że na urodziny Wilhelma nie udekorowała kwiatami portretu Najjaśniejszego. Ale kto znał stosunki i ducha pruskiego, ten wie że to rozpacz i panika niszczycielska biła „po cztery na portki". Na kilka tygodni już przecie przed dniem urodzin ten nauczyciel szkoły powszechnej w wielkopolskim Kunowie otrzymał od inspektoratu szkolnego zawiadomienie, że najwyższy *Geburtstag* powinien być w szkołach uczczony żywiołową manifestacją dziatwy szkolnej. Oczywiście, w okólnikach inspektoratu nazywało się to, że manifestacja ma być dobrowolna — i tylko zlekka uzupełniano to dodatkiem, że od wyniku „przypomnienia" dzieciom o wielkim dniu, zależeć będzie kwalifikacja nauczyciela w inspektoracie.

No więc teraz wejdźmy w położenie tego nieszczęśliwca, nauczyciela z Kunowa: wiedział doskonale, że żandarm miejscowy nie omieszka sprawdzić, czy w jego szkółce były wieńce, czy nie zanotuje tego w osławionej pruskiej „kartotece". Wieńców nie było, czyli karjera biedaka zachwiana. I ta zachwiana karjera, onieprzytomniała z rozpaczy, chwytała za kij i waliła nim dziatwę polską. Waliła w bezmyślnem przekonaniu, że biciem można wmusić w serce uczucia, których w tem sercu niema.

Ani ten pruski nauczyciel ze szkółki powszechnej, ani jego inspektor, ani ministerjum oświaty w Berlinie, które ze swej strony na inspektorów nacisk wywierało, nie przypuszczali, że gdyby dziś całej Europie przetłomaczyć te kilka wierszy wspomnień obitego przed trzydziestu laty ucznia pruskiej szkoły, to te kilka wierszy starczyłyby za wytłumaczenie, za wyjaśnienie antypatji, jaką cywilizowany człowiek miał do prusaków czasu wielkiej wojny.

To też w tem, co pisze w swych pamiętnikach jedna z ofiar owego semencjalnego systemu pruskiego, tkwi ważne ostrzeżenie dla wszystkich innych, nietylko jednostek, ale i społeczeństw: nie wchodzić na drogę pruską.

O AUTONOMJĘ UNIWERSYTETÓW

PRZYSZŁA kolej na uniwersytety. W d. 22 b. m. zwołano do Warszawy zjazd profesorów szkół akademickich, jak głoszą komunikaty, profesorów „stojących na gruncie ideologji marszałka Piłsudskidgo". Widzimy ze sprawozdań w organie urzędowym, że zmieściło się na tym gruncie około 70 mniej znanych profesorów. Z ministerjum oświecenia wzięli udział w obradach minister Czerwiński oraz wiceministrowie ks. Żongołłowicz i płk. Pieracki.

Cokolwiek się nazewnątrz głosi, chodzi o trzy punkty, w których atakowana będzie autonomja uniwersytecka: 1) sprawa mianowania rektorów, 2) zniesienie autonomji gospodarczej, 3) zniesienie autonomji naukowej (powoływanie profesorów). To są zadania praktyczne, co się zaś tyczy ideologji, to zamyka się ona w haśle „wychowania państwowego". Bliższe wyjaśnienie tej ideologji znaleźli czytelnicy w artykułach Rolickiego „Szkoła jednolita i wychowanie państwowe".

Ze sprawozdań zjazdu widać, że główną troską profesorów piłsudczyków, z prof. Zakrzewskim na czele, jest sprawa młodzieży, która budzi niepokój swemi zasadami narodowemi.

Ze spisu gorliwych pedagogów, biorących udział w zjeździe, widać, że są to przeważnie osobistości, które zależały pole naukowe i chcą się odegrać w polityce. W sferach naukowych panuje opinja, że spisek celu nie osiągnie. Jedynie Sowietom udało się zniszczyć uniwersytety. Podziela to stanowisko nawet część prasy „sanacyjnej" („Il. Kurjer Codz."). W prasie narodowej wiadomości o zjeździe profesorów wywołały przygnębiające wrażenie.

NAUKA I LITERATURA

DYKTATURY

AUTOR rozprawy „*Autour du fascisme italien*“ p. F. Cambo, w swem nowem dziele p. t. „*Les dictatures*“ *(Paris. Librairie Felix Alcan, 1930)* dał bardzo ciekawe, bezstronnie przemyślane studjum o zjawisku historycznem, któremu na imię Dyktatura. Nie szczędząc przykładów z dalszej przeszłości, zajmuje się on przedewszystkiem dyktaturami powojennej Europy. Zdaniem jego, przyszły one jako objaw rozczarowania do prądów demokratycznych. Prądy te, rosnące dotąd nieskrępowanie, znalazły swój wyraz w licznych konstytucjach, po wojnie stworzonych i ogłoszonych. Ponieważ jednak obietnice, jakie w sobie niosły, nie doczekały się realizacji, więc jako zjawisko zwykłe przyszła reakcja pod postacią rządów dyktatorskich. Rządy te widzi autor w Rosji, we Włoszech, w Hiszpanji, w Portugalji, w Turcji, Łotwie, w Jugosławji i Albanji. Polska, zdaniem Cambo, uległa dyktaturze niezupełnej, przejawiającej się okresami. Uległy jej też w niedalekiej jeszcze przeszłości Grecja, Bułgarja i Węgry, a dwa ostatnie z tych państw dotąd z pod panowania tego systemu nie wyszły, ulegając tylko pewnym zmianom w taktyce dyktatora, Rumunja zaś kroczy ku niemu i łatwo może być w kluby dyktatury ujęta, gdyż instytucje demokratyczne działają w niej anormalnie.

W dalszym ciągu swych badań pyta autor, jakie jednostki polityczne przedstawiają grunt podatny dla zapanowania dyktatury. Odpowiedzi dostarczają mu badania statystyczne, a brzmi ona tak: Te społeczeństwa, które wykazują znaczny odsetek analfabetów, znaczną śmiertelność, martwotę w dziedzinie handlu i mały ruch pocztowy, uległy w powojennej Europie władzy dyktatorskiej, a więc, mówiąc innemi słowy, łatwość w rezygnowaniu z instytucyj demokratycznych stoi w odwrotnym stosunku do poziomu kultury danego narodu czy państwa.

Dowiódłszy tego, nie przekreśla jednak Cambo twierdzeń, jakie spotkaliśmy na wstępie. Przyczyną zasadniczą pozostaje według niego kryzys demokratycznych instytucyj, a więc przedewszystkiem parlamentaryzmu. Kryzysowi temu poświęca autor szereg sumiennych uwag. Zdaniem jego, zjawisko dyktatury grozi i zawsze grozić może tym państwom, w których obok wołania o prawa, jakie demokratyzm ma przynieść, niema poczucia obowiązków, które idą za nim. Tam, gdzie pod wpływem materjalizmu, jednostka czy stan dany tylko osobiste korzyści mają przed oczyma, odwracając się od pracy obywatelskiej, tam, gdzie kult dla ideałów obywatelskich zanika, zanika i wolność, a tyran staje na progu.

Nad trzema dyktaturami zatrzymuje się Cambo dłużej, widząc w każdej z nich nie krótkotrwały zamach stanu, lecz rewolucję o cechach pewnej trwałości i trzy przy tem wymienia nazwiska: Lenina, Kemala Paszy i Mussoliniego.

Głównym motorem bolszewickiego przewrotu była zadawniona zawiść klasowa. Sprowadziła ona dyktaturę proletarjatu, zbolszewizowanie całego kraju, wywłaszczenie większej własności ziemskiej i socjalizację przemysłu. Pomimo znacznych modyfikacyj, jakim musiał ulec jej program pierwotny, pomimo zmian i ustępstw, jakie mu jeszcze grożą, przeprowadziła ona jednak przewrót społeczny bardzo poważny, w rozmiarach, o jakie nigdzie dotąd się nie kuszono.

Kemal Pasza zawdzięcza swą władzę zwycięstwu, które ojczyźnie zgotował. Stworzył on nową Turcję, Turcję niezależną, traktowaną na równi z innemi państwami Europy. Zagoił rany, spowodowane długą wojną, i przeprowadził śmiały eksperyment zerwania z tradycją w dziedzinie obyczajów i kultury. Dyktator ten wprowadził kraj swój na tory zgoła odmienne od tych, jakiemi kroczy równie muzułmański Egipt, trzymający się tradycji. Jakie będą ostateczne rezultaty tego przewrotu w państwie ottomańskiem? Pytając o to, nie znajduje Cambo jeszcze definitywnej odpowiedzi.

Rewolucja faszystowska we Włoszech, rozpada się, zdaniem autora, na dwa okresy. Pierwszy zamyka się na 1925 r. Przed rokiem tym istniała jeszcze, choć formalnie, konstytucja. Istniały też w parlamencie elementy opozycyjne, w ministerstwach zasiadali ludzie innych stronnictw. Po zabójstwie Matteottiego, Mussolini zaproponował opozycji ugodę. Nie przyjęła ona jego warunków i od tego czasu rozpoczyna się okres właściwej dyktatury. Mussolini, odtrącony przez przeciwników, wypowiedział im zaciętą walkę i w walce tej zwyciężył. Obecnie faszyzm opiera się na przemocy. W myśl zasad Lenina zidentyfikował on siebie z pojęciem ojczyzny i państwa, konstytucja przestała faktycznie istnieć. Na polu ekonomicznem jest jednak faszyzm zupełnem zaprzeczeniem bolszewizmu. Szanuje on inicjatywę prawną, popiera ją nawet, nie uznaje monopolów, nie etatyzuje przedsiębiorstw przemysłowych. Z wrogiemi sobie syndykatami robotniczemi musiał jednak Mussolini przeprowadzić upartą walkę. Przeciwstawił im syndykaty faszystowskie. Ale one wchłonęły w siebie wiele elementów obcych kierunkowi rządowemu, wyrosły mu ponad głowę i ostatecznie dekretem z dn. 22 listopada 1928 roku zostały zniesione.

Dziś Włochy unieszkodliwiły czy nawet usunęły konflikty klasowe i nie można zaprzeczyć, że korzyści, jakie sprowadziło skasowanie strejków i lokautów, są znaczne. Czy będą długo trwały? Tu znowu autor stawia znak zapytania.

Warunkiem sprzyjającym trwaniu dyktatury jest przeniesienie ciężkości w życiu dzisiejszego obywatela z dziedziny polityki, więc spraw publicznych, w dziedzinę pracy zawodowej, więc raczej spraw osobistych.

Taki stan rzeczy wytwarza liczne rzesze ludzi apolitycznych, jedynie pracami swego stanu, swego zawodu zajętych. On uboży siłę parlamentaryzmu, odciągając odeń wybitniejsze jednostki, on wreszcie zapewnia dyktaturze trwanie, wytwarzając niechęć do rewolucji, do przewrotu, podczas których ludzie, pochłonięci pracą zawodową, stracić mogą bardzo wiele.

Do najciekawszych należą ostatnie rozdziały książki. Autor mówi w nich najpierw o dyktaturach legalnych. Powstawały one w wyjątkowych, przełomowych chwilach i powstały z woli obywateli. Dyktatorem z woli Rzymian był Kamillus, prowadzący współobywateli do zwycięstwa nad Gallami i Cycero, wyzwalający ich od Katyliny. Takie dyktatury, zdaniem autora mogą być korzystne a nawet zbawienne dla państwa, pod tym zasadniczym warunkiem, by krótko trwały.

Tyranja narzucona może też chwilowo przynieść korzyści, może uczynić pracę rządu sprawniejszą, może poprawić stan finansów, zaprowadzić większą karność w szeregach obywateli. Wreszcie są dyktatury które przez wprowadzenie pewnego elementu ideowego, odświeżają ogólną atmosferę. Do takich zalicza Cambo rząd Mussoliniego i Kemala Paszy.

Ale (i tu dochodzimy do wyników zasadniczych poprzedniego badania) nawet to, co moglibyśmy nazwać dobrą dyktaturą, kryje w sobie straszliwe niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo to tkwi w zupełnej nieświadomości jutra, w niemożności przygotowania go. Dyktator nie miewa zastępcy. Dyktatura pojawia się w momencie kryzysów parlamentarnych, w momencie nadmiernej wybujałości demokratyzmu, który grozi przejściem w demagogję. Może ona chwilowo wziąć na siebie decyzje w sprawach, których społeczeństwo skutkiem tak zwanej apolityczności rozstrzygnąć nie umie. Ale (i w tem tragedja) dyktatura nie może uleczyć zasadniczo tej choroby, która ją wywołała. Nie zdoła ona nauczyć spełniania obowiązków obywatelskich. Może natomiast przyczynić się bardzo silnie do rozwinięcia egoizmu, apatji w sprawach ogólnych. Tam, gdzie kwitnie jej system, cnoty obywatelskie, twierdzi Combo, muszą zaniknąć.

Ponadto przez krępowanie takich czynników życia publicznego, jak parlamentaryzm, prasa, wywołuje ona często zanik instynktów moralnych. Protekcjonizm, pochlebstwo, tchórzostwo idą w jej ślady, nie mając przeciwwagi w odwadze cywilnej, w niezależności opinji publicznej.

Oto są ujemne strony nawet tak zwanych dobrych dyktatorów. Nad złymi nie zatrzymuje się autor. Szkoda mu na to czasu. A wśród tych niebezpieczeństw — raz jeszcze mocno podkreśla — do największych należy to, że dyktatura jest rządem — bez jutra.

Wywody swe kończy bardzo ciekawym przykładem Meksyku. Przez trzydzieści pięć lat cieszył się on ojcowską dyktaturą Diaza, a po ustąpieniu tego dyktatora znalazł się w stanie zupełnej anarchji, bo Meksykanie najzupełniej wyszli z wprawy w pełnieniu obowiązków obywatelskich.

Przejdźmy na koniec do wniosku ostatecznego. Nie ukrywając niedomagań dzisiejszego parlamentu, Combo życzy mu ozdrowienia. Przestrzega jednak mocno przed kasowaniem instytucyj parlamentarnych. Chirurgja, zdaniem jego, nie da się stosować w polityce. Poza trzema dyktaturami, o których wspominaliśmy wyżej, a które choć nie doszły jeszcze do ostatecznego stadjum w ewolucji, przedstawiają, jako eksperyment, pewien dość znaczny nawet interes i dla badaczy i dla ludzkości, wszelkim innym dyktaturom życzy Cambo, by nietylko w interesie danego państwa, lecz poprostu w interesie pokoju europejskiego jaknajprędzej przestały istnieć.

Książka hiszpańskiego autora pisana spokojnie, bardzo treściwie, przedstawia z konieczności pewne skróty myślowe, które niekiedy domagałyby się jeszcze rozwiązania. Stanowi jednak poważny dorobek w dzisiejszej literaturze politycznej, tak dla wagi i doniosłości poruszonego tematu, jak i dla wytrawnego objektywizmu i poważnej wiedzy historycznej, jakiej jest wyrazem.

MARJA DYNOWSKA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Nagrodę naukową miasta Warszawy za r. 1931 otrzymał znakomity uczony Oswald Balzer, profesor uniw. Jana Kazimierza we Lwowie, założyciel i prezes Lwowskiego Tow. Naukowego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ostatni, IX, zeszyt *„Almae Matris Vilnensis"*, pisma akademickiego U. S. B., poświęcony jest rocznicom Kochanowskiego i Jana Śniadeckiego. Zawiera prace o pierwszym: prof. Bruchnalskiego (szkic ogólny, przeznaczony w pierwszej linji dla Anglików), Pigonia (sprawozdanie ze zjazdu w Krakowie) oraz Cz. Zgorzelskiego rozprawę, omawiającą opisy Sycyny, Czarnolasu i Zwolenia w literaturze. O Śniadeckim pisze prof. Kolbuszewski (wykład na akademji ku czci wielkiego rektora o jego stosunku do współczesnego mu życia kulturalnego polskiego), dalej zaś mamy wrażenia jednej z uczestniczek wycieczki do Jaszun, gdzie spoczywają zwłoki Śniadeckiego. Szereg poezyj, drobnych szkiców, recenzyj i ilustracyj dopełniają całości dużego o 94 str. zeszytu *in quarto*. (S. C.)

*

To samo wydawnictwo *(„A. Mater V.")* wydało dużą księgę pamiątkową ku czci Wergilego (Wilno, 1930, str. 240). Złożyły się na nią prace: prof. Glixellego (o rocznicach Wergilego i Mistrala), Gostkowskiego, Kolbuszewskiego (o Osińskim, jako tłumaczu „Eneidy"), Oki, Pigonia, Safarewicza, Otrębskiego i p. Sienickiego (dwie ostatnie po francusku), oraz kilku słuchaczek U. S. B. *Miscelanea* zamykają tę dużą i poważną książkę, mającą prezentować filologję klasyczną w Wilnie przed światem. Redaktorem księgi był dr. Rybicki. (S. C.)

*

Ożywiony w naszych czasach ruch regionalistyczny znalazł pożądane zasilenie w organizacjach koleżeńskich według gniazd szkolnych. Najczynniejszą z nich jest Koło Kielczan, pod którego patronatem odbyć się ma w tym roku na Zielone Świątki w Kielcach ogólny zjazd koleżeński. Adres komitetu, do którego koledzy mają nadsyłać zgłoszenia, jest: Kazimierz Barański, Warszawa, Wspólna 13.

Przed zjazdem wyjdzie z pod prasy czwarty rocznik nader pożytecznego „Pamiętnika Koła Kielczan" za rok 1930 — 31. Redakcja zapowiada ciekawy materjał historyczny. Ktoby chciał się zaznajomić z poprzedniemi rocznikami (od r. 1927) może się zgłosić również pod powyższym adresem. Nowy rocznik wyjdzie w maju. (W.)

*

Z powodu wzmianki, uczynionej w tem miejscu, w nr. 10 „Myśli Narodowej" o stow. „Pomoc Bliźniemu" — otrzymaliśmy z tego stowarzyszenia sprostowanie: „W zwią ku z często spotykanem mniemaniem, że Akademickie Stow. Charytatywne „Pomoc Bliźniemu" jest sekcją *„Juventus Christiana"*, podajemy do wiadomości, że wyżej wspomniane stowarzyszenie jest zupełnie samoistne organizacyjnie, natomiast żywo współpracuje z akademickiemi organizacjami katolickiemi".

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Mówi się często, że *„les extrémes se touchent"*. Powiedzenie to znajduje obecnie zastosowanie nawet w doborze, czynionym przez pisarzy względem ich odnośnych bohaterów. W literaturze powojennej bowiem cudzoziemcy, występujący w danej powieści, są najczęściej narodowości rosyjskiej — bolszewickiej czy też „białej" — lub też amerykańskiej. Dwa te odrębne światy dostarczyły też autorom dużo ciekawych typów. Nawet Henry Bordeaux uległ tej pokusie. To też w swojej ostatniej powieści *„Murder-Party" (Plon édit.)* hrabina de Foix nosi to stare, arystokratyczne nazwisko, ale jest Amerykanką. Dlatego i towarzyskie zabawy będą miały specjalny charakter „zabaw" Nowego Świata. Do rzędu tych ostatnich właśnie należy owa *„murder-party"*. Na czem ona polega? — Jest to gra w udawanie zabójstwa. Ktoś z gości zostaje niby to zabity. Reszta zaś towarzystwa zamienia się właściwie w detektywów, czy też policjantów, mających pomiędzy sobą odszukać domniemanego mordercy. Hrabina de Foix organizuje u siebie taką *„murder-party"*. Bierze w niej udział szereg osób, a pomiędzy niemi córka państwa domu, urocza Izabela. Jest ona zaręczona, ale prawie wbrew woli ojca, z młodym dyplomatą, Jerzym d'Aigues. W pewnej chwili rozlega się umówiony wystrzał rewolwerowy. Improwizowani detektywi puszczają się na poszukiwanie ofiary i jej sprawcy. I oto znajdują w jednym z pokojów pałacu zamordowaną sławną *„star"*, Clarisse Villevert. Broczy ona jednak w prawdziwej krwi, a rana jej jest śmiertelna. Parodja morderstwa stała się dramatyczną prawdą. Któż jednak rozwiąże tę zagadkę? — Sam hr. Foix. Clarisse Villevert była bowiem kochanką narzeczonego Izabeli i pragnęła niedopuścić do tego małżeństwa, rzucając młodej dziewczynie w twarz ciężkie zniewagi. Ta pociągnęła wówczas za cyngiel, raniąc śmiertelnie swoją rywalkę. W tych tragicznych okolicznościach, hr. de Foix odzyska swoją dawną energję, broniąc honoru nazwiska i nie dopuszczając do skandalicznego procesu. Ale ofiarą cichą *„murder-party"* będzie jednak Izabela, która w danej chwili sama do winy się przyznała. Nie potrzeba chyba dodawać, że Henry Bordeaux przeprowadził całą akcję tego dramatu z dużą zręcznością, wytwarzając specjalną atmosferę, która sprawia, że czytelnik bierze prawie równie czynny udział w owej *„murder-party"* co i sami bohaterowie powieści. (I. B.)

*

„Edith, demoiselle de Nevers" (Albin Michel édit.) wychowana jest w szarem, prowincjonalnem miasteczku Nevers. Młodość jej upływa nie wesoło, a to tem więcej, że surowa matka przeznacza jej za męża człowieka, który Edith bynajmniej nie pociąga. Jednakowoż los inaczej jej życiem pokierował. Zupełnie przypadkowo bowiem, na jakiejś dobroczynnej uroczystości, Edith poznaje bogatego i utalentowanego pisarza, Amerykanina. Młodej dziewczynie imponuje on i jakkolwiek ma przeszło 20 lat więcej od niej, postanawia go poślubić. Matka temu małżeństwu sprzeciwia się, gdyż *Yankee* nie ma manjer i tradycyj burżuazyjnych. Edith jednak stawia na swojem. Będzie ona pędziła życie w zbytku, we wspaniałym pałacu, otoczona miłością swego męża, ale nie czuje się szczęśliwą. Brakuje jej matki, brakuje jej jeszcze może więcej dawnej prowincjonalnej egzystencji. To też pomimo wszystko pozostanie ową *„demoiselle de Nevers"*. Atawizm silniejszy był, aniżeli pozorne porywy do wolności. Jacques Cervières, autor tej powieści, nie sili się na żadne sztuczne nastroje, ale przeciwnie zadowala sytuacjami nietyle skomplikowanemi, co mającemi przedewszystkiem psychologiczne podłoże. (I. B.)

*

Jednym z bohaterów książki pani Dominique André będzie miljoner amerykański, Archibald Fishner. Powieść zaś ta nosi tytuł *„Le Baiser froid“ (Editions des Portiques)*. Miljarderowi temu da się poślubić młoda arystokratka Marie-Lise de Marillac, wzamian za co będzie jednak jej mąż tolerował poniekąd częstą w ich domu obecność jej kuzyna Armanda de Marillac. Ta bardzo *moderne* rodzina, nie krępująca się zbytnio przesądami moralności, uda się do Prowancji, gdzie pomiędzy nich wślizgnie się jeszcze ta „czwarta“. Będzie zaś nią urocza, ambitna i zmysłowa ogrodniczka, Pascaline, która postanowiła przez intrygę czy małżeństwo wydostać się ze swego skromnego otoczenia. Flirt jednak młodego Armanda z ogrodniczką nie uchodzi uwadze Marie-Lise. Ta w swojej zaślepionej miłości ubliża Pascaline, pospolitej dziewczynie, która mści się w sposób obecnie najbardziej przyjęty. Wystrzałem bowiem z fuzji zabija Marie-Lise. I oto rzeźbiarz-sceptyk, Simon, który znowuż kochał się w zmarłej, jest do głębi jej śmiercią przejęty. Obojętny na pieniądze i na zaszczyty, daje się jedynie porywać estetycznemi względami. Marie-Lise żywa pociągała go, ale bał się jakiejkolwiek realizacji tego uczucia; Marie-Lise umarła—staje się dla niego istotnym ideałem, gdyż rozczarowania już żadnego dać mu nie może. I dlatego na ustach nieżywej, złoży „zimny pocałunek“. Ta epizodyczna sylwetka Simona jest jedną zresztą z cech talentu autorki, która właśnie ubocznemi postaciami i drugorzędnemi sytuacjami podnosi i urozmaica główną akcję powieści. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

Ostatnia, marcowa wystawa w Zachęcie, poza pokazem prac Stanisława Grabowskiego, nie przynosi nic specjalnie godnego uwagi. Wielką, tak zwaną honorową salę zajęty obrazy b. dyrektora Departamentu sztuki p. Skotnickiego. Niestety, umieszczenie dzieł p. Skotnickiego w tej sali da się wytłomaczyć tylko tem, że się nie mieściły gdzieindziej. Każdy przeciętny śmiertelnik posiada pewien zasób zdolności plastycznych, muzycznych i t. dalej. W szkole średniej uczymy się rysunków i śpiewu. Nikt jednak z tytułu wykonania tych prostych i potrzebnych dla ogólnego rozwoju ćwiczeń, nie pretenduje do miana artysty. W pracach p. Skotnickiego nie wykrywamy nic ponadto, coby go właśnie do uprawiania tego zawodu uprawniało. Jego bezkrwiste i anemiczne płody niewiele nam mówią bo i nie mają o czem. Nie pomogą waciane bicepsy różnych „Piastów“ i „Kraków“. Nawet akwarale prawdziwy artysta powinien malować nie wodą a krwią serdeczną. Porównanie prac byłego dygnitarza, urzędowego opiekuna sztuki, z obrazami któregokolwiek z typowych i przeciętnych „zachętowiczów“ wypadnie zawsze niebezpiecznie dla p. Skotnickiego. Skotnicki chętnie przenosi nas w „czarowny świat bajek i fantazji“. Sposób w jaki to robi, zachęca do pozostania w krainie rzeczywistości. (W. P.)

*

Z kolekcjami prac wystąpili panowie F. Roliński i St. Domaradzki, P. Roliński jest z zawodu pedagogiem i to bardzo poważnym. Między innymi bierze on udział w przygotowaniu nowych sił nauczycielskich w zakresie rysunku, dla szkolnictwa średniego. Pracy artystycznej może więc poświęcać się tylko dorywczo, w wolnych od zajęć zawodowych chwilach. Pod takiem też kątem widzenia należy rozpatrywać jego obrazy. Są to pejzaże nezpretensjonalne, utrzymane przeważnie w jasnych barwach, wpadających czasami w nieco mdłą kolorkowość. Wcale nieźle przedstawia się krajobraz zatytułowany „Gdynia“, świetlisty i delikatny, bynajmniej jednak nie odbarwiony. Wymieniony wyżej p. Skotnicki, ze wszystkimi swoimi obrazami, ani się umywał do skromnej „Gdyni“ Rolińskiego.

A propos Domaradzkiego, przypomniało mi się tak modne niegdyś słowo: filister.

Artysta i filister — dwa bieguny, dwa przeciwieństwa. Domaradzki usiłuje dowieść, że można jedno, z drugim bardzo dobrze pogodzić i zostać artystą-filistrem. Gdy na schyłku swego żywota artysta nieraz nie daje dzieł tak tęgich, jak w pełni lat męskich, smutne to, lecz i naturalne. Z czasem siła odchodzi, pozostaje tylko wprawa, rutyna. Lecz Domaradzki zaczął od rytyny, na czemże więc skończy, bo życie przecież ma jeszcze przed sobą?

Posiada pewne zdolności, doszedł do jakiej takiej wprawy i teraz „odstawia“ obrazek za obrazkiem: gładko, zręcznie, szybko, w ślicznych złoconych ramach z szyldzikiem. Nic nie wskazuje na to, aby atmosfera Zachęty mogła podziałać ożywczo na Domaradzkiego, raczej przeciwnie. (W. P.)

*

Jest i wystawa morska, tak zwanej Sekcji Morskiej Polskiego Tow. Artystycznego. Nie wiem, co daje prawo do brania udziału w wystawach sekcji, czy poziom prac, czy tylko ich temat. Mam wrażenie, iż osoby o tem decydujące, skoro zoczą na obrazku wodę, już są zadowolone i o resztę mniej dbają. Stąd taka różnorodność poziomu w sali marynistów. Pani M. Krzyżanowska dała szereg pejzaży tęgich i zamaszystych. Jej „Port rybacki“ żadnej wystawie wstydu by nie przyniósł. Panowie Nałęcz i Mokwa utrzymują się w granicach poprawności, natomiast nic dobrego nie mogę powiedzieć o pani Wiesławie Jasińskiej, autorce aplikacji ze starych worków i sznurka, zatytułowanej: „Delfiny“. Niewielki to ma związek z morzem, jeszcze mniejszy z polskiem, a już najmniejszy ze sztuką. Gdybyśmy dalej chcieli kroczyć konsekwentnie po tak obranej drodze, to znalazłoby się w sali marynistów miejsce i dla starej syreny magistrackiej, bo przecież syrena żyje w Wiśle, a Wisła wpada do morza! Takie „Delfiny“ to drobiazg właściwie, głupstewko nic nie znaczące, lecz właśnie zbytnia gościnność wobec tego rodzaju drobnostek szkodzi powadze Zachęty więcej, niż to się napozór wydaje. (W. P)

*

O powstaniu nowej współdzielni art.-rzeźbiarzy pod nazwą „Forma“, informuje wydana przez nią książeczka. Członkami „Formy“ są absolwenci kursu rzeźby Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. W Radzie Nadzorczej, a zarazem i Radzie Artystycznej zasiadają dwaj profesorowie szkoły: Tadeusz Breyer i Karol Stryjeński. Zakres działania świeżo-powstałej placówki bardzo dobrze określa w przedmowie do książeczki prof. Władysław Skoczylas. „Wiele miast polskich i wiele komitetów prowincjonalnych, tworzących się dla wzniesienia różnych pomników mogą w tow. „Forma“ znaleźć fachową poradę“.

Najwyższy również jest czas, aby nasza rzeźba religijna i nasze nagrobki cmentarne przestały posługiwać się zagraniczną banalną tandetą i aby przedmioty nasze kultu religijnego były dziełami wykonanemi przez polskiego artystę. Nasze konkursy sportowe... zbyt często posługuj się znowu figurkami i puharami wyrobu zagranicznego, które jako nagrody sportowe szerzą zły smak i obcy przemysł artystyczny. Wszystkie te zadania i wiele innych z zakresu rzeźby... mogą doskonale zaspokoić członkowie tow. „Forma“.

Książeczkę zdobią liczne ilustracje, reprodukcje dzieł członków „Formy“, nagrodzonych na licznych konkursach publicznych. (W. P.)

*

W Towarzystwie Artystycznem (Marszałkowska 69) znalazły gościnę obrazy Marylskiego i p. Marylskiej. Ze względu na spóźnioną porę, dzieła Marylskiego, o niepowszednich dziś i cennych zaletach, omówię w najbliższym numerze „Myśli“. (W. P.)

LISTY DO REDAKCJI

Kochany Redaktorze!

W związku z moją „Ofensywą“ w ostatnim numerze, informuję niniejszem, że w ustępie, gdzie mowa o „niewonnych subsydjach“ przymiotnik: niewonny odnosił się wyłącznie do pisma: „Echo Tygodnia“, wydawanego, jak wiadomo za „nieznane fundusze“, bynajmniej zaś, oczywiście, nie do „Teatru Polskiego“, dla którego żywię pełny szacunek.

ADOLF NOWACZYŃSKI

OFENSYWA

NIBY O LINCOLNIE

„Siłą państwa nie są okręty,
ani mury nie są, tylko mężowie".
Z greckich tragików...

DUŻO w ostatnich czasach wyszło monografij, *vies romancées* i studjów psychograficznych o wielkich mężach stanu, twórcach państw, organizatorach, dyktatorach, regentach, kanclerzac :, ministrach. Pod każdym względem opłaciłoby się to ryczałtem i w czambuł wszystko tłumaczyć. Poprostu ze względów edukacyjno-pedagogicznych. „Stojący na gruncie ideologji marszałka" i t. p. mogliby siąść na chwilę w wygodnych fotelach w klubie H. K. T. B. B. W.R. przy ul. Smolnej, albo też w Sejmie czy nawet w domu i troszeczkę sobie poczytać i coś się z tego pouczyć i wywiedzić jak to w Europie Europejczycy wyobrażają sobie *state-mackerów*, *commanding-manów*. Dziwne, opaczne bowiem o opatrznościowych mężach pojęcie ma to symplistów i prymitywistów zbiorowisko, któremu trudno właściwie dobrać nazwisko. Może popprzestudjowanie takich kilkunastu tomów o Zachodnich Europejczykach przez zachodnich europejczyków pisanych, troszeczkę by się rozświeciło w głowiznach tej Elity *á rebours*, tego „doboru na opak..."

Przedewszystkiem dwa tomy portretów. W książce *conte* Carlo Sforza znanego dyplomaty znalazł się komplet ludzi z wczoraj i ludzi z dzisiaj. Autor, czarujący pisarz, a głęboko sceptyczny znawca koneser dusz ludzkich, antyfaszysta, antysemita a liberał dawnej daty, wysokiej myślowej klasy. Poznajemy się, jak z żywymi, z Venizelosem, Chamberlainem, Aehrentalem, Franc-Josephem, Juan-Szi-Kajem, Kemal-Baszą, Leninem, Sonninem no i z podrzędniejszemi figurami, zajmującemi dziś sobą dużo miejsca. Niektórych z nich przedtem już portretował paryski „żyd honorowy" (*honoris causa*) p. Anatol de Monzie. Z porównania z hr. Sforza ten ostatni wychodzi zwycięsko. Portretowani nie wszyscy kwalifikują się jako modele do naśladownictwa, ale interesujący nawet przez swoje mankamenta. Chamberlaina mamy i w edycji Frank Harrisa, w którego galerji wizerunków wybitnych postaci politycznych znalazł się z dawnych czasów książe Bismarck.

O antagonistach tego „żelaznego kanclerza" gruby tom p. t.: „*Die Feinde Bismarcks*" napisał Otto Westphal. Sądząc z licznych recenzyj w prasie niemieckiej, książkę tę gorąco trzeba zalecić do lektury naszym bismarckatym adoratorom absolutyzmu i przedrzeźniaczom oraz parodystom Mussolinizmu. Okazuje się z tego, że nawet taki tytan, umysł autentycznie genjalny, nie awanturniczy, nie dyletant, nie improwizator, no a przedewszystkiem zdrowe *cerebrum*, *gentleman* i człowiek honoru i człowiek religijny, wierzący, chrześcijanin miał jednak nie tylko antagonistów, nieprzyjaciół, ale nawet wrogów zajadłych, a których patrjotyzmu niemieckiego jednak nigdy nie poważano się kwestjonować. Immanentnych zasług stworzenia cesarstwa niemieckiego odmawiają nawet Bismarckowi ze spółczesnych nam historjozofów Maurenbrecher i prof. Dellbrück, który postawił tezę, że państwo zjednoczone niemieckie byłoby się skonsolidowało i bez Bismarcka.

Z innych prac o wielkich mężach stanu zasługują na wyróżnienie znanego francuskiego pisarza Maurois (*Herzog*) książka o antypatycznie genjalnym (a niespodziewanie przez Barrésa, uwielbianym) Disraelim oraz angielskiego pisarza Filipa Guedalla (izraelita) tom o Palmerstonie. Bardzo gorąco należy też polecić elewom naszego M. S. Z. oba tomy zmarłego Paleologue'a t. j. trzy portrety: Talleyranda, Chateaubrianda i Metternicha oraz z dużym rozmachem napisaną i bardzo źródłową monografję Cavoura. O Hindenburgu wyszedł zarys biograficzny G. R. Schultze-Pfae-Czera, jak znowuż o Stresemannie dwie książki równocześnie. Opłaciłoby się też na język ministra Matuszewskiego (nie tak dawno jeszcze piszącego pod pseud. Ogińskiego) przetłómaczyć Angeliki Bałabanowej książkę o Mussolinim.

Nowoczesnych monografij (choćby krótkich) takich polskich mężów stanu jak margrabia Wielopolski, jak Agenor Gołuchowski, Ant. Radziwiłł, jak Smolka, Dunajewski, Badeni dotychczas nie mamy. Szkoda wielka, gdyż na wzorach takich *commanding-manów*, takich urodzonych władarzy, rozkazodawców, regentów, ale zawsze przedewszystkiem *gentlemanów* mogliby kształcić swe tandetne jaźnie nasze domorosłe władyki z B. B. W. R.

Po polsku mamy pod ręką dwie monografje dwóch prezydentów amerykańskich. Lwowski historyk prof. Szelągowski dał bardzo źródłową, sumienną, lekko zabarwioną tendencjami (czynnik nadrzędny, system prezydencki) monografję Waszyngtona. O Abrahamie Lincolnie książkę niemiecko-żydowskiego multi-pisarza E. Ludwiga (*Cohna*) przetłumaczył fanatycznie antykatolicki a już i nieco zabawny przez tą swą zajadłość współpracownik rządowej „Gazety Polskiej" p. Hulka-Laskowski.

„Ojciec Abraham" — to demokracja sama w sobie. Samouctwo, pochodzenie z gminu, gołębie serce, energja elementarna, idealizm. W pięciu rozdziałach dowiadujemy się wszystko co najlepszego o tym wyrobniku, obywatelu, oswobodzicielu murzynów (Kohn by się uśmiał, jak ich wyswobodzili!) i ojcu (*pater familias*). Antypoda *grand-seigneur*'a. *Filister farmer*, rąbał drzewo, żył jak pastor. Same cnoty, ale znowu dość szare mieszczaństwo, choć nie bez pewnego heroizmu...

Otóż nie kto inny, jak właśnie żelazny kanclerz Bismarck postawił tezę, że A. Lincolna także pośrednio przez swe intrygi zamordowali żydzi. Aktor Booth nic nie miał z nimi nigdy wspólnego, ale jego czyn zbrodniczy był konsekwencją ich matactw. Poglądy Bismarcka ogłosił ten, do którego były wypowiedziane w roku 1876, t. j. niemiec amerykański Konrad Ziem. Lincolna usunęła *hidden hand* t. j. skryta ręka finansjery.

Pogląd ten powtarza teraz pono autor gwałtownie antysemickiej, bardzo popularnej dziś (1931) w Stanach książki o złocie amerykańskiem (*The American Rich*) Hofman-Nickerson... Równocześnie zaś pono olbrzymie wrażenie w Ameryce zrobiła książka Edysza Lee Mastersa, odsądzająca Lincolna od czci i wiary, pomniejszająca olbrzyma, w najczarniejszych barwach przedstawiająca bohatera narodowego jako arriwistę, drobnomieszczanina, tchórza i t. p. („nigdy się nie mył").

Widzimy z tego, jak to postacie pierwszoplanowe, historyczne, „Opatrznościowe" można oświetlać różnym światłem i jak dzisiejszość *(age of confusion)* równocześnie inaczej je oświetla.

Wedle tedy tezy Bismarcka wojnę domową w Stanach Zjednoczonych rozpętała finansjera międzynarodowa—żydowska—w Europie pod wodzą Rotszyldów, dla zagarnięcia złota całego Nowego Świata w swe ręce. Dla jej tajnych celów zamordowany też został obcą dla nich ręką Abraham Lincoln.

I w r. 1876 mówił Bismarck do K. Ziema:

„Obawiam się, aby bankierstwo żydowskie swoją przebiegłością i swemi okrutnymi metodami nie wzięło w przyszłości pod kontrolę niespożytych bogactw całej Ameryki i aby rozporządzając całym światowym zapasem złota nie wzięło się do systematycznego zniszczania naszej cywilizacji nowoczesnej. W krytycznym momencie bowiem żydowstwo nie zawaha się przed zatopieniem całego świata chrześcijańskiego w wojnach, rewolucjach, chaosie, by tylko cały glob dostał się pod władanie Izraela".

Należy teraz bacznie i przez dobrą lunetę przypatrywać się temu, co się dzieje na globie ziemskim, szczególnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki i Stanach Zjednoczonych Rosji...

Untergang des Morgen-Landes...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Gazeta Polska", organ pułkownikowski „sanacji", wykrztusiła zdawkowy artykulik z powodu dziesiątej rocznicy zwycięstwa plebiscytowego na Górnym Śląsku, nie wspomniała jednak nazwiska Wojciecha Korfantego, który był zwycięskim wodzem w tej ciężkiej kampanji. Motywem przemilczenia jest pewno to, że Korfantemu już przedtem Rzeczpospolita urządziła jubileusz w Brześciu, gdzie dostatecznie został uczczony.

*

Laureat Kaden-Bandrowski, domniemany prezes przyszłej Akademji Literackiej, jeśli się nie wykłóca z burmistrzami o nagrodę literacką, to pisze panegiryk. A zgrywa się przytem, jak aktor prowincjonalny. W laurce na imieniny (nr. 77 „Gaz. Pol.") pisze:

„Dnia tego — wódz i naród — powitać się musimy za całą przeszłość na całą przyszłość naszą uśmiechem wielkiej, burzliwej i potężnej miłości, która trwa między nami na śmierć i życie do każdej, do ostatniej i najtajniejszej myśli!"

Ten niezwykle skomplikowany obraz psychologiczny wymaga analizy metodą Freuda; laurowy jest i ciemny.

Przez laurki — do laurów!

*

B. marszałek Senatu, ostatnio prezes Komitetu imieninowego, dr. Szymański, mistrz ceremonji, powinien być przedstawiony do specjalnego orderu: *litteris et artibus*, któryby odpowiadał zasługom, położonym w dziedzinie kartek i opery.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.** Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.